Nr. 267. Lwów — Środa dnia 20 Listopada Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 90 h.
w Niemczech . . . . . 6 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. [illegible]
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 6 h.
na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, [illegible] i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, podziękowania [illegible] po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Mikolascha l. 8.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo [illegible] h.
tłustym garmondem „ „ 8 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h.
Kolumny po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca.
Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: Wt. św. Feliksa de W. — Hierona | Jutro: Śr. Ofiar. NMP. — Sob. ś. Michała | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca o godz. 6 min. 46, Zachód „ „ 3 „ 34 | Długość dnia godzin 8 min. 48, Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Obstrukcya na Węgrzech.

Gabinet p. Wekerlego i koalicya sejmowa znalazły się w niepospolitym kłopocie, z którego dotąd nie znalazły wyjścia. Mści się na nich własna ich przeszłość. W dobie walki z gabinetem jenerała Fejervary'ego zawarła koalicya umowę z Chorwatami, w której przyrzekła im wrócić do przepisów ugody z r. 1868-ego o autonomii chorwackiej, jednakże po zdobyciu władzy zapomniała przyrzeczeń i w sprawie administracyi kolejowej utrzymała system madyaryzacyjny. Z tego powodu przyszło do zerwania stosunków między koalicyą a Chorwatami, do narzucenia im niemiłego bana i do takiego usposobienia w ich kraju, że rozwiązanie sejmu zagrzebskiego, a przeprowadzenie wyborów, któreby następnie dały inną delegacyę chorwacką do sejmu peszteńskiego, tylko pogorszyłoby stosunki. Dawniej Węgrzy zawsze mieli w Chorwacyi własne stronnictwo, które nawet bardzo długo posiadało większość. Teraz niema tam nikogo życzliwego Węgrom. Kiedy się tak fatalnie ułożyły stosunki, nie było wątpliwości, że przy każdej okazyi Chorwaci będą obstrukcyjnymi sposobami tamowali bieg obrad, aby zmusić koalicyę do uznania ugody z roku 1868-ego w całej rozciągłości. Ale Chorwaci zachowywali się poprawnie, nie przyjęli sojuszu z partyami narodowemi, co dałoby pozór walki z węgierskim charakterem państwa i mogłoby wszystkich Madyarów postawić w obozie rządowym. Ale wniesiono kilka dni temu do sejmu projekt ustawy o taryfie autonomicznej. Ten projekt, składający się z przeszło 1.000 paragrafów, jest wstępem do ustaw ugodowych z Austryą. Tu delegacya chorwacka, licząca 40 posłów, rozpoczęła obstrukcyę.

Prowadzi ją spokojnie, rzeczowo, rzadko się uciekając do sposobów taktycznych. Nie można jej zarzucić rozmyślnego tamowania obrad, można tylko powiedzieć, że zbyt drobiazgowo rozbiera każdy paragraf, podnosząc zarzuty stylowe i finansowe, ale rzecz jest ważna, więc tego niepodobna brać jej za złe. Koalicya próbowała zakrzyczeć mowy chorwackie, lekceważyć je przyjętym już zwyczajem, prowadzić obrady tak, jak gdyby wcale nie było owych przemówień, wreszcie rozdrażnić Chorwatów, zachęcić ich do skandalu i wkońcu ukarać ich usunięciem z izby, ale to wszystko nie zdało się na nic. Chorwaci są zimni, ugrzecznieni, cierpliwi, głusi na prowokacye i wymagający od prezydenta, aby ściśle trzymał się regulaminu. Kiedy on raz pozwolił sobie odstąpić od regulaminu, sekretarz chorwacki natychmiast opuścił trybunę, co zgodnie z przepisem wstrzymało obrady.

Taka obstrukcya rzeczowa, mająca wszelkie pozory sumiennego roztrząsania przedstawionej przez rząd ustawy, może trwać bardzo długo. Dotychczas opracowywano codzień tylko jeden paragraf, a że jest ich z górą tysiąc, więc tylko pierwsze czytanie może się skończyć za lat parę.

Koalicya nie wie, co na to poradzić. Jeszcze stary Tisza chciał zmienić regulamin sejmowy i wprowadzić doń postanowienie o zamknięciu dyskusyi na wniosek większości, ale nawet stronnictwo Ludwika Tiszy rozpadło się na tym punkcie, co też było powodem ustąpienia tego wodza liberałów węgierskich. Kilka lat temu, kiedy stronnictwo niezawisłości, dzisiaj rządzące, prowadziło obstrukcyę przeciw gabinetowi Stefana Tiszy, a liberalna większość przy pomocy prezydenta izby Perczela narzuciła tak zwany „prowizoryczny regulamin“, w którym było postanowienie o zamknięciu dyskusyi, wówczas kossuthowcy zrobili pamiętny skandal, zbili służbę sejmową, połamali meble. Sejm trzeba było rozwiązać. Wybory dały olbrzymią większość opozycyi, a zatem wyborcy uznali, że w żadnym razie nie wolno zamykać dyskusyi. Kossuthowcy domagali się nawet oddania Perczela pod sąd za zdradę stanu, a chociaż odstąpili od tego zamiaru w ugodzie z Koroną, to jednak zemścili się na nim odebraniem mu emerytury. Odtąd prawo dyskutowania choćby w nieskończoność stało się palladyum narodowych swobód, nieledwie warunkiem istnienia państwa węgierskiego. W regulaminach wszystkich parlamentów jest przepis o zamknięciu dyskusyi na żądanie większości, na Węgrzech zaś uważa się ona za skończoną dopiero wtedy, gdy nikt nie chce mówić.

Nie ma tedy w regulaminie sposobu na teraźniejszą obstrukcyę chorwacką. Trzeba albo się z Chorwatami pogodzić, uznać ugodę z r. 1868-ego w całej rozciągłości i z wszystkiemi następstwami, albo zgodzić się na trwanie rozprawy o taryfie celnej lat kilka, co oczywiście udaremni ugodę z Austryą, albo wreszcie zmienić regulamin.

To ostatnie najbardziej podoba się koalicyi, ale jakże właśnie ona ma to zrobić? Jak zdoła wmówić w naród, że to, co dotąd ogłaszała za palladyum złotej wolności, jest odtąd niewolą? W jej obozie powstał projekt ustawy o „kloturze ograniczonej“. Wedle tego projektu, klotura, czyli zamknięcie dyskusyi na żądanie większości, ma być stosowana tylko do „konieczności państwowych“, a więc do rozpraw budżetowych, ugodowych, o kontygencie rekrutów, o reformach podatkowych i o reformie wyborczej. Do niczego więcej — i to tylko prowizorycznie, t. j. do rewizyi regulaminu przez sejm, który wyjdzie z wyborów podług nowej ordynacyi.

Radykaliści najłatwiej się zmieniają w despotów. Można powiedzieć, że się nie zmieniają, bo są nimi, gdyż inaczej nie byliby radykałami. Być więc może, iż koalicya powie, że to, co dotąd uznawała za zbrodnię stanu, gdy czynili inni, jest największą cnotą obywatelską, gdy ona sama uczyni — i tak powstanie klotura. Ale jest obawa, że wtedy wielkim głosem zaprotestują najskrajniejsi ze skrajnych. Kto oni? Przedewszystkiem niedawny minister sprawiedliwości Polonyi, wyrzucony z urzędu za znane skandaliczne historye. Następnie Ugron, Lengyel i cała paczka radykalistów nawet wśród radykalistów. Jest ich kilkunastu, a wystąpili oni z obozu niezawisłości, bo nie chcą ugody z Austryą, chcą zaś całkowitego rozdziału. Nie będą oni robili obstrukcyi razem z Chorwatami, bo to Madyarom nie uchodzi, ale będą ją robili obok Chorwatów. Tak samo postąpią partye narodowe. Obstrukcyjna falanga zwiększy się do 80-ciu posłów, zatem łatwo nie dopuści do uchwalenia klotury.

Oto jest kłopot, w którym się znalazł rząd Wekerlego razem z koalicyą.

Oświadczenie październikowców.

Wśród stronnictw prawicy w dumie rosyjskiej najbardziej konstytucyjni są zwolennicy carskiego manifestu z 30 paźdz. r. 1905-ego, i dlatego właśnie przezwani październikowcami. Od nich na prawo zaczyna się gradacya stronnictw, pragnących uszczuplić ten manifest. Jedni chcą go uszczuplić mniej, inni więcej, a jest takich szczebli coś siedm, na ostatnim zaś w górze siedzą „prawdziwi Rosyanie“, żądający powrotu do czasów mikołajowskich. Na lewo od październikowców znajdują się „odnowieńcy“, którzy na dziś w niczem się nie różnią od swych sąsiadów z prawa, ale uważają, że kiedyś później powinny być rozszerzane prawa konstytucyjne i dlatego nie trzeba przedsiębrać reform, obliczonych na długo, jeno odnawiać to, co jest złe z każdego względu. Można więc ich nazwać zwolennikami prowizoryum, ale na teraz trzeba ich zaliczać do październikowców. Od nich na lewo — kadeci, a za nimi już lewica, także złożona z wielu szczebli.

Tak więc październikowcy z odnowieńcami tworzą środek, bo chcą, aby było teraz, jak jest, podczas gdy prawica ciągnie ku reakcyi, a lewica ku reformom konstytucyjnym. Ten środek nie tworzy większości w Izbie, ale ponieważ jest najlepiej zorganizowany, przeto nadaje ton. Do jego woli muszą się stosować umiarkowani z prawicy i kadeci i niezbyt jaskrawi z lewicy, którzy mniemają, że lepsza jest jakabądź duma, niż żadna. Tak w gruncie rzeczy październikowcy mają większość. Dlatego ich zapatrywania zasługują na uwagę.

Otóż odbyli oni zgromadzenie wspólnie z odnowieńcami i umiarkowanymi z prawicy i na niem uchwalili deklaracyę, złożoną z 17-tu punktów, z których najważniejsze są takie:

„Stronnictwo stoi w obronie nadanej przez cara dumy i ogłoszonych później ustaw zasadniczych, poręczających nienaruszalne trwanie samowładztwa.

„Stronnictwo jest konstytucyjnem, ale nie dąży do osiągnięcia władzy, ponieważ wybór rządu nie może być żadnymi sposobami narzucany samowładnemu monarsze.

„Stronnictwo odrzuca wszelkie usiłowania, zmierzające do uzyskania autonomii lokalnej, któraby była decentralizacyą władzy państwowej. Wyjątek z tej reguły czyni tylko dla W ks. Finlandzkiego. Cała reszta państwa, jednolitego i na wieki nierozdzielnego, musi być rządzona z jednego miejsca i podług jednych praw. Jednakże stronnictwo uznaje, że dla spraw lokalnego gospodarstwa i kulturalnych muszą być rozciągnięte na prowincye nierosyjskie (inno-narodowe) urządzenia samorządne (zwane ziemskiemi), o tyle jednak, o ile da się to pogodzić z zachowaniem jednolitości i niepodzielności cesarstwa, przyczem w owych prowincyach powinny być całkowicie zabezpieczone interesa ludności rosyjskiej.

„Stronnictwo uznaje, że przy istniejących warunkach nie można spełnić dążenia żydów do równouprawnienia.

„Stronnictwo oświadcza, że rewizya przepisów i prawnych postanowień, podług których odbyły się wybory do teraźniejszej dumy, nie jest aktualną“.

Żaden z tych punktów deklaracyi październikowców nie wymaga wyjaśnień. Stanęli oni w jednym rzędzie z czynownictwem. Nowego prezydenta dumy Chomiakowa zapytano, dlaczego październikowcy zmienili swój pogląd na polską i żydowską sprawę, bo przecież w roku przeszłym mieli w swym programie zniesienie wszelkich ustaw wyjątkowych. P. Chomiakow tak odpowiedział:

„Ormianie, Tatarzy, Gruzini, Polacy, zgoła wszystkie narodowości nierosyjskie w naszej monarchii mówią o sobie to samo, co żydzi, że żyją w nieznośnych warunkach i że ich sprawa wymaga szybkiego rozwikłania, ma się rozumieć, zgodnego z ich życzeniami. Niezaprzeczenie, mają słuszność, ponieważ prawa tych narodów są ograniczone. Lecz jeżeli przedewszystkiem zajmiemy się temi sprawami, to chyba nasze własne i ogólno-państwowe zostawimy na los szczęścia. O, nie, tego nie uczynimy! Dla nas najdroższe i najpilniejsze są sprawy całej Rosyi. Najpierw musimy wyprowadzić ojczyznę z okropnego położenia, a potem znajdzie się czas na co innego.

„Żydom radzę unikać gromkich i napuszystych słów, które tylko rozgoryczają Rosyan. Niech oni nie prawią o jakiejś „kwestyi żydowskiej“, bo naprawdę, co to za taka „kwestya“ w państwie prawosławnego narodu? Niech żydzi podzielą swe żądania, a przedstawiają je spokojnie i pokornie, wtedy ich wysłuchamy. Niech proszą o rozszerzenie obszaru ich osiadłości, bo im zbyt ciasno; niech innym razem proszą, aby zniesiono ich procentowy stosunek w szkołach; znowu kiedyindziej niech poproszą, aby im wolno było zamieszkiwać w wioskach; jeżeli tak będą postępowali, my okażemy życzliwość, bo nie jesteśmy zwolennikami ograniczeń. To samo z Polakami. Gdyby oni nie bili nam ciągle w nos swoją autonomią tak natarczywie, że już ona nam obrzydła, lecz gdyby wykazywali spokojnie, bez wielkich słów, swe potrzeby, to jużby teraz mieli znacznie więcej, niż dostaną. Powiem jak Stołypin: „Nie nastraszycie!“ Z dobrej woli damy każdemu, co potrzeba i co słuszne, ale żadnej „kwestyi“ nie uznajemy i znać nie chcemy“.

Korespondencye.

Wiedeń, 18. listopada.

(Kongres katolików austryackich. — Pismo Ojca św. — Mowy ks. Lichtensteina. — Dr. Lueger. — Popieranie prasy katolickiej).

(y.) Obraduje tu od wczoraj szósty kongres katolików austryackich przy niezwykle licznym udziale uczestników ze wszystkich prowincyj państwa. Najliczniej reprezentowane są jednak kraje alpejskie i Austrya Dolna. Przewodniczącym kongresu wybrano byłego prezydenta Rady państwa dr. Fuchsa.

Nadzwyczaj serdeczne pismo odręczne nadesłał na ręce x. kardynała Gruschy Ojciec święty Pius X. i życzy w niem szermierzom sprawy katolickiej w Austryi jak największego powodzenia w tej żmudnej pracy. Czujności wielkiej i wielkiej pracy potrzeba — pisze Pius X. — bo niestety i w Austryi wrogowie wiary nie próżnują, lecz starają się zyskać jaknajwiększy wpływ na masy. Najniegodziwszych środków używają oni, aby oczernić Kościół i przedstawić go jako wroga postępu i nauk i aby wydrzeć mu wszelki wpływ na wychowanie młodzieży i na naukę w szkołach publicznych, z drugiej zaś strony zapomocą kłamliwych obietnic starają się złowić w swe sieci bezkrytyczne tłumy, zwłaszcza robotników i wyrwać je z pod macierzyńskiej opieki Kościoła. Owóż takim żywiołom rozkładowym powinni katolicy przeciwstawiać jednolitą potęgę, a wszystkim, którzy biorą udział w tej chwalebnej walce udziela Ojciec św. błogosławieństwa apostolskiego. Odczytanie tego pisma papieskiego przyjęli zebrani z nieopisanym zapałem, a sędziwy kardynał x. Gruscha dodał następnie od siebie kilka ciepłych słów, w których wyraził nadzieję, iż wiek dwudziesty będzie wiekiem odrodzenia się ducha katolickiego w Austryi.

Następnie zabrali głos kolejno dwaj główni działacze obozu chrześcijańsko-socyalnego ks. Alojzy Lichtenstein i dr. Lueger, z których pierwszy powitał zebranych imieniem kraju, a drugi imieniem miasta.

Ks. Lichtenstein podniósł w swej mowie, że jakkolwiek katolicy w Wiedniu nie uzyskali jeszcze wszystkiego, co im się z prawa należy, ale bądź co bądź stosunki dzisiejsze oznaczają postęp olbrzymi w porównaniu z tem, co było przed dwudziestu laty. Liberali i masoni panowali wówczas niepodzielnie, a katolik wykonujący praktyki religijne był istotą wyszydzaną. Ba, doszło już do tego, że prasa stołeczna domagała się zakazu odbywania procesyi w święto Bożego Ciała, bo one tamują komunikacyę, że ze szkół usunięto krucyfiksy i zabroniono odmawiania modlitw przed nauką i po nauce. Katolicy byli wtedy obywatelami drugiej klasy, wykluczonymi poniekąd od piastowania urzędów publicznych. Znaleźli się jednak odważni mężowie ze wszystkich stanów, którzy skupili dokoła siebie masy i pokonali zuchwałego wroga, Zdobyli radę miejską, zdobyli sejm, weszli do nowego parlamentu jako najsilniejsze stronnictwo i dziś z całem prawem mogą domagać się, aby oni kierowali losami ojczyzny.

Po ks. Lichtensteinie przemawiał dr. Lueger i rzucił nowe hasło, które przyjęte zostało z uniesieniem, a mianowicie hasło oczyszczenia uniwersytetu wiedeńskiego z żywiołów liberalno-bezwyznaniowych. Jako asumpt do wystąpienia z tem hasłem posłużyła drowi Luegerowi ta okoliczność, że przed kilkunastu dniami zamianowano ośmiu nowych nadzwyczajnych profesorów uniwersytetu wiedeńskiego, a między nimi był tylko jeden chrześcijanin, a siedmiu żydów. Prasa chrześcijańsko-socyalna podniosła z tego powodu ogromną wrzawę i przytem napiętnowała dosadnie ten nie każdemu zapewne znany fakt, że na wszechnicy wiedeńskiej jest ogółem osmdziesięciu żydowskich profesorów i docentów. — Owóż dr. Lueger, wyliczywszy rozmaite zdobycze, jakie stronnictwo jego już osiągnęło, rzekł następnie: „Dużo się zrobiło, to prawda, ale jeszcze jedna wielka praca czeka nas: musimy zdobyć uniwersytet. Nie możemy dopuścić do tego, ażeby wszechnice były nadal gruntem, na którym dojrzewają idee wywrotowe, ażeby były wylęgarnią rewolucyi, bezbożności i braku miłości ojczyzny. Gdy patrzę na to, co się dzieje na uniwersytetach w Wiedniu, Gracu i gdzieindziej, to mimowoli zadaję sobie pytanie: Czyż to naprawdę są kapłani i adepci nauki? Dużo potrzeba będzie jeszcze walczyć, ale mam nadzieję, że w końcu doprowadzimy do tego, iż na ośmiu nowomianowanych profesorów będzie siedmiu chrześcijan, a nie odwrotnie“.

Po tych przemówieniach uchwalono wysłać telegramy z wyrazami hołdu do Ojca św. i do Cesarza i podzielono się na sekcye.

Po tem pierwszem posiedzeniu kongresu odbyło się w hali ratusza zgromadzenie członków towarzystwa „Pius-Verein“, zajmującego się popieraniem prasy katolickiej. Obradom przewodniczył członek Izby panów hr. Walterskirchen, a sprawozdanie z czynności stowarzyszenia w roku ubiegłym składał X. Benno Auracher. Pomimo, że stowarzyszenie to istnieje dopiero od niespełna roku, wykazać się może już nadzwyczajnymi rezultatami. Na cele popierania prasy katolickiej zebrało ono dotychczas 366.000 koron, z tego obróciło 142.000 na podniesienie dwóch wychodzących w Wiedniu pism codziennych *Vaterland* i *Reichspost*, a 59.000 na zasiłki dla katolickich pism prowincyonalnych. Dalsze ofiary napływają obficie, to też jest nadzieja, że uda się oprzeć prasę katolicką na silnych podstawach finansowych.

Co i o czem piszą.

W dzisiejszych czasach, gdy z powodu braku gotówki, wszyscy niemal musimy mówić o bankach, wekslach i eskonterach bardzo na czasie pojawił się w *Kuryerze lwowskim* artykuł jakiegoś finansisty doskonale znającego wszystkie bankowe instytucye prywatne i publiczne istniejące w Galicyi. Autor rozpoczyna swój artykuł od epoki, kiedy w Galicyi istniały tylko banki we Lwowie i Krakowie, a na prowincyi nie było banków wcale, i dalej pisze:

Istniały tylko filie banku austro-węgierskiego w niektórych miastach większych i zastępstwa Banku krajowego, z których wielkiego pożytku się nie miało. Natomiast powstawały skutkiem konieczności stosunków stowarzyszenia kredytowe na podstawie ustawy z r. 1873, około których zwykle grupowały się osoby, blizkie przekonaniami politycznemi i związane niekiedy wspólnością interesów. Stowarzyszenia te odpowiadały w zupełności swemu zadaniu i były źródłem pomocy i kredytu prowincyonalnych firm, które miały w nich to udogodnienie, iż zaciągnięte pożyczki spłacać mogły ratami. Stopa procentowa była jednakowoż zawsze jeszcze dość znaczna i trudność dostania kredytu polegała również na dostarczaniu kilku podpisów, tak, że eskonter prywatny tu także musiał wejść w rachubę. Ten na prowincyi mógł łatwiej operować, gdyż po pierwsze nie stawiano doń wielkich wymagań co do wysokości kwoty, po drugie w stosunku do pobieranego procentu przez stowarzyszenia także nie o wiele drożej płacić sobie kazał, jeśli się zważy, że dawał prawie zawsze tylko na podpis jednej firmy.

Tak stały rzeczy aż do czasu, kiedy banki i firmy bankowe pozakrajowe zaczęły Galicyę zasypywać pieniędzmi.

Pierwszą była prywatna firma milionowa M. et I. Mandl z Wiednia, która przed 13 lub 14 laty czynność swą rozpoczęła i po dziś dzień w Galicyi operuje. Reeskontuje ona weksle eskonterów prywatnych, przemysłowców wielkich i stowarzyszeń kredytowych po znacznie tańszej stopie procentowej, niż banki tutejsze. W ślad za nią poszły z biegiem czasu wiedeński Bankverein, dolno-austryackie Towarzystwo eskontowe, Bank

5)

Maciej Łubieński.

ZŁOTA NIĆ.
POWIEŚĆ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

Tam wystawił dramat jako młodziutki, początkujący pisarz, tam spotkało go pierwsze niepowodzenie... Rozczarowany, zniechęcony, rozżalony, przeniósł się do Galicyi, gdzie zdobył rozgłos i stał się tym znanym dramaturgiem poetą, którym był dzisiaj. W Krakowie również poznał Irmę Lyrońską.

Zadumę Marbutta przerwał wesoły głos Lyrońskiego:

— Ależ to istna niespodzianka dla mnie? Irma oto mówi mi właśnie, że kuzyn z krwi i kości Ukrainiec...

— Ach, tak! — uśmiechnął się smętnie Marbutt. — Moi rodzice trzymali na Ukrainie dzierżawę, tu urodziłem się w istocie i spędziłem dziecinne lata...

— Niedaleko Kijowa... Kilka godzin jazdy Dnieprem, w Zaworlińcach pani Honoraty Zaworlinieckiej.

— Nie znam... odparł wahając się Lyroński.

— Nic dziwnego, już nie żyje... Staruszka to była bardzo zacna. Dziś majątek w innych rękach, to jest jej krewnej, nazwiska nie pamiętam...

Rozmowa urwała się. Znajdowali się już poza bramą parku, na obszernym placu. Rzeczy Marbuttów były już na stacyi, parokonny ekwipaż czekał na nich.

— Jedź z nami! — zaproponowała Irma.

Lyroński zgodził się i niebawem powóz mknął w stronę dworca.

W kwadrans później całe towarzystwo znajdowało się już w jasnooświetlonej poczekalni stacyjnej.

Za kilkanaście minut Marbuttowie siadać już mieli do wagonu, tymczasem jeszcze się przechadzali.

Marbutt był ciągle milczący i bierny tylko brał udział w rozmowie.

Stan jego zauważył Lyroński i spytał półgłosem Irmy:

— Twój mąż jakoś dziś nieusposobiony, nieprawdaż? Może to moja obecność popsuła mu humor, co?

— Ech, nie, cóż znowu! — roześmiała się Marbuttowa i zwróciwszy się do męża, rzekła głośno:

— Coś tak zadumany, Zdzisiu?... Aż Moryś to zauważył...

Marbutt zamyślonem spojrzeniem ogarnął Irmę i jej kuzyna.

W tejsamej chwili, jako artysta, zauważył, jak bardzo tych dwoje ludzi odcinało się na tle otaczającego ich tłumu.

Irmę, obciśniętą w strój podróżny, skromny, lecz pański, dopełniał jakby stojący obok niej kuzyn: ubrany w jasny letni garnitur i biały kapelusz. Prosty, giętki i zgrabny, o ruchach swobodnych, pełen jakiegoś nieuchwytnego, pół-kobiecego, pół-męzkiego wdzięku, Lyroński od pierwszego rzutu oka przemawiał za sobą. Zarówno on, jak i Irma — byli to ludzie zewnętrznie tak bardzo inni od otaczających, że aż to zastanowiło Marbutta.

— Rasowi bo rasowi! — pomyślał w duchu, nie odpowiadając żonie, która niezrażona powtórzyła:

— Zdzisiu, o czemże tak myślisz?...

— Chcą państwo wiedzieć koniecznie? — zapytał Marbutt z zagadkowym uśmiechem. — W tej chwili myślałem, iż wy, z arystokracyi, umiecie się dobrze ubierać... A wogóle?...

Tu zwrócił się Marbutt do Lyrońskiego.

— Widzę, że pan hrabia nie jest przyzwyczajony wogóle do towarzystwa artystów. Dziwi się pan memu zamyśleniu?... My artyści, mówimy rzadziej, myślimy więcej... Potrafimy wprawdzie niejednokrotnie przegadać najwymowniejszego filistra, ale tylko wtedy, gdy tknięta odezwie się w nas jakaś struna. Wówczas stajemy się indywidualni, jesteśmy sobą — bronimy jakiejś myśli, jakiegoś ideału... Lecz tak sobie przeciętnej rozmowy, „causerie“ salonowej prowadzić nie umiemy... Zostawiamy to innym, którzy lubią przelewać z pustego w próżne... O czem zaś wogóle myślałem — opowiem panu. Lat temu kilkanaście, o tej samej godzinie, z tegoż dworca wyjeżdżałem do stolicy, jak dzisiaj... Lecz w jakże odmiennych warunkach!

Straciwszy na dzierżawie w owych Zaworlińcach, rodzice moi musieli liczyć się z groszem. Jechaliśmy klasą trzecią po raz pierwszy w życiu!

Tu spojrzał Marbutt wymownie na żonę i jej kuzyna.

Po twarzy Irmy przebiegł rumieniec, a w oczach jej błysnęło jednocześnie współczucie dobrego serca. Na obliczu Lyrońskiego natomiast znać było nieokreślone zażenowanie.

Marbutt zapomniał, iż „w dobrem towarzystwie“ o pewnych rzeczach nie mówi się nigdy...

Zapomniał o tem biedny poeta tak dalece, iż otwierał już usta, by spowiadać się dalej...

Przypadek jednak przeszkodził temu. W sali rozbrzmiał drugi dzwonek i wszczął się ruch.

Obok Marbuttów wyrósł jakby z pod ziemi wspaniały kozak z tłomoczkami.

Poczęto żegnać się spiesznie.

— Do widzenia. Morysiu! Nieprawdasz, nie zapomnisz o nas? — żegnała serdecznie kuzyna Irma. — Pierwsi zresztą — dorzuciła, — będziemy u twoich rodziców!...

Lyroński całował rękę kuzynki i ściskał z uśmiechem serdecznie dłoń Marbutta.

— Bardzo miło mi było poznać, bardzo miło... — bąkał steryotypowe zdanie.

Znaleźli się wszyscy niebawem na platformie dworca.

Lyroński odprowadził krewnych aż do wagonu i pożegnawszy ich raz jeszcze, powrócił do sali. Tu zasiadł przy stole i kazał podać sobie kolacyę.

Jednocześnie pociąg gwizdnął i ruszył z przed dworca — w pustej sali zapanowała charakterystyczna cisza, towarzysząca zwykle odejściu pociągów.

III.

— Proszę wielmożnej pani, kuferek już na dorożce! Pozwoli pani, to zaprowadzę...

Słowa te do Toli, stojącej na środku sali wielkomiejskiego dworca wyrzekł młody tragarz w niebieskiej bluzie, a schwyciwszy kilka jej pakunków, począł sobie torować drogę wśród tłumu.

Oszołomiona gwarem Tola machinalnie podążyła za nim. Ubrana w ciemną podróżną suknię, wyglądała wprawdzie nie tak uroczo jak w barwnym ukraińskim stroju, lecz nie mniej zwracała uwagę pięknością i kilku mężczyzn spojrzało na nią ciekawie, gdy prawie biegła za tragarzem.

Ten już był na stopniach ganku dworca kolejowego i czekał na nią.

Zdyszana, znalazła się wkrótce Tola tuż poza nim i spojrzała przed siebie.

Ruch panował tu nie do opisania. Krzyżowały się wielkie hotelowe omnibusy, dorożki, powozy, ładowano kufry, śpieszono się powszechnie.

W chwili, gdy Tola znalazła się na kamiennych stopniach, u podjazdu dworca stała elegancka kareta. Drzwiczki powozu ozdobione herbem i hrabiowską koroną, były otwarte, w głębi pojazdu siedziała Irma Marbuttowa i pochylona mówiła coś do męża. On tyłem obrócony do Toli, opierając już nogę na stopniu, wsiadał również do powozu, wspomagany przez kozaka w jasno-szarym stroju. Opodal sztywny, miejski lokaj w liberyi ze złotymi guzikami stał z uszanowaniem w oczekującej postawie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

depozytowy, Unionbank, Verkehrsbank z Wiednia, dalej Peszteński bank komercyalny z Budapesztu, Živnosteńska banka i Praski bank kredytowy z Pragi; z firm prywatnych znaczniejsze były A. H. Suess i Synowie, Wilhelm Beer, Schlesinger et Reichman, Adolf Winter, Jos Toch z Wiednia i Latzko et Popper, jakoteż I. Kramer z Budapesztu. Wszystkie wyż wspomniane banki i firmy prywatne miały z małymi wyjątkami swych zastępców, którzy materyał wekslowy cenzurowali i odnośnym swym firmom posyłali. Działalność ich rozgałęzioną była na całą Galicyę i Bukowinę i skutkiem taniej stopy procentowej w ostatnich latach w Austryi (3½%), zasypywali Galicyę w ten sposób pieniędzmi, iż brali nawet pisemne zobowiązania od galicyjskich firm na miesięczne „dostawy" kilkudziesięciu lub kilkuset tysięcy koron materyału wekslowego.

Z natury rzeczy wytworzyły się bardzo niezdrowe stosunki, gdyż z powodu nadmiaru gotówki robiono interesy bez rachuby, li tylko, aby interes szedł i aby dostawę weksli można dotrzymywać. Narzucano więc firmom mniejszym i małym, większym i wielkim, pieniądze z wszech stron, bez i za pośrednictwem faktorów, biur i pseudoeskonterów, którzy, nie mając nic do stracenia, dawali swe żyro, zarabiając na tem parę guldenów. Prywatni eskonterzy, operujący własnym kapitałem, konkurować musieli z takimi, którzy nie wiele do stracenia mieć mogli, którzy, jeśli im nie płacono, również zastanawiali wypłaty i czekać musieli na czas, aż ci ostatni znikną z widowni.

Na czas ten nadmiaru gotówki i taniej stopy procentowej przypada także otwarcie filii wiedeńskiego Banku związkowego przed trzema laty. Zaprzeczyć nie można, iż instytucya ta ogromny moralny wpływ wywarła na ogólną czynność banków w ostatnich latach tem, że dopuściła handel, przemysł i rękodzielnictwo do bezpośredniego korzystania z kredytów. Kupieckie rymesy małe, które traktowano gdzieindziej, jako „śmiecie", weksle, pochodzące z wykonanych robót przez rękodzielników, przedsiębiorców budowlanych i t. p., brano tam chętnie i wydatnie, wprowadzono udzielanie zaliczek krótkoterminowych na rachunek bieżący, dla dobrych firm nawet bez pokrycia, zaliczki na cło i wiele innych rzeczy, których wyliczanie dużo zajęłoby miejsca, które jednak były dla Galicyi, ściśniętej w ograniczonych staroświeckich ramach przyzwyczajenia, czemś nowem i pożądanem.

W ślad za Bankvereinem przybył do Lwowa Praski bank kredytowy, który wprowadził nowość, mianowicie oddział towarowy i finansowanie przedsiębiorstw. Kierownictwo tego banku ze znajomością rzeczy finansuje budowy tras kolejowych, budowle rządowe, kupno lasów, bydła, ropy, węgli, dostawy kolejowe, tartaki drzewne itd. Jest to postęp kolosalny jak na Galicyę i należy się spodziewać, iż wywrze to bardzo dodatni wpływ na rozwój ogólny kraju.

Także Živnosteńska banka pro Cechy a Moravu przybyła równocześnie z filią do Galicyi i otworzyła swe biura w Krakowie, rozszerzając swą działalność na zachodnią część kraju.

W lipcu b. r. otwartą została filia Ustředni banky ceskych sporitelen z Pragi (Centralnego banku czeskich kas oszczędności) we Lwowie. Jest to instytucya nader ruchliwa, założona przez związek kas oszczędności w Czechach. Z małych początków stworzona przed 4 laty, jest dziś wielką instytucyą, której zadaniem jest dostarczanie kredytu bankom i stowarzyszeniom kredytowym, udzielanie pożyczek komunalnych i t. d. Kto zna ustrój stowarzyszeń na prowincyi i kolosalną klientelę tychże, ten przyzna, że instytucya ta, która bierze pośrednio i bezpośrednio materyał wekslowy prawie wszystkich stowarzyszeń w Galicyi, stanęła bodaj czy nie najwyżej na wysokości swego zadania. Znajomość rzeczy, liberalne poglądy, a nadewszystko ściśle traktowanie spraw, cechujące kierownictwo filii lwowskiej, spotkały się ogólnie z sympatycznem uznaniem, które spotęgowane zostało w ostatnich miesiącach kryzysu w Galicyi przez to, iż instytucya ta z wielką gotowością szła na rękę bankom i stowarzyszeniom udzielaniem gotówki i kredytem wekslowym bez uszczuplenia, a tem samem byt niejednego stowarzyszenia uratowała. Statutowo bank ten tylko z instytucyami bezpośrednio interesa kredytowe zawierać może. Ale i sfery prywatne korzyść wielką przez tę instytucyę odniosły. Wprowadziła ona mianowicie dział składania wadyów i kaucyi i otworzyła niejednemu, który z powodu braku kaucyi do niczego nigdy dojść nie mógł, szerokie pole do okazania swych zdolności, a temsamem do zysku materyalnego. Kto wie, ile trudności i pieniędzy pierwej kosztowało uzyskanie kaucyi kilkudziesięciu tysięcy, a jaką minimalną opłatę pobiera Ustredni banka, ten uzna doniosłość i udogodnienie, jakie uzyskały handel i przemysł przez to wprowadzenie.

Działalność instytucyi krajowych, jak Akcyjny bank związkowy, Galicyjska kasa zaliczkowa i Bank zaliczkowy, dostatecznie znane są i życzyćby tylko należało, aby społeczeństwo z należytem poparciem banki te traktowało, gdyż tylko w ten sposób uczynić zadość mogą potrzebom kredytowym i ułatwić bieg interesów.

Na zakończenie wymienić należy instytucyę, stworzoną przez Ligę pomocy przemysłowej; jest nią „Spółka fakturowa", finansowana przez Bank krajowy.

Korzysta ze „Spółki fakturowej" kupiectwo i przemysł galicyjski, które zyskało w tej instytucyi to, do czego od szeregu lat dojść nie mogło. Oto kapitał, unieruchomiony w księgach przez otwarte pretensye książkowe i faktury, wchodzi w interes ponownie jako kapitał obrotowy, skutkiem cesyi odnośnych pretensyi „Spółce fakturowej", która je obejmuje na własność, udzielając zaliczkę 60—80%, jako kredyt wekslowy. Jest to *novum*, praktykowane wprawdzie za krajem od dłuższego czasu, u nas jednakże dopiero od kilku miesięcy z dobrymi rezultatami.

Także galicyjskie Towarzystwo dyskontowe zajmuje się eskontowaniem otwartych pretensyi i faktur, a oprócz tego udzielaniem kredytów kupieckich wszelkiego rodzaju. Jest to instytucya młoda i ruchliwa, której rokują ładny rozwój.

Z powyższych wywodów nie trudno więc zoryentować się, iż stosunki handlowe i kredytowe w Galicyi nie są jeszcze tego rodzaju, aby dotrzymywać mogły kroku urządzeniom zagranicy; jeszcze nie stoimy na tym stopniu kultury zachodniej, gdzie każda firma, zajmująca się jakimś przemysłem, ma swój bank lub swego bankiera, który wszelkie transakcye finansowe załatwia i wszystką gotówkę dostarcza. U nas niestety każdy sam o to troszczyć się musi i w tem właśnie leży sęk; w pogoni za gotówką, którą nie zawsze i nie każdy w bankach dostanie, eskonter prywatny bardzo często jest pożądany; na razie należeć on musi do inwentarza finansowego Galicyi, chociaż niektórzy powiadają, że gdyby znikł z widowni, to lepiejby nam się działo.

Bardzo możliwe!... może i my dożyjemy jeszcze tego!...

„Polska, jako rycerz między narodami".

Pod takim tytułem wyszła teraz w Ameryce książka dużej wartości i niemałej dla nas wagi, napisana po Angielsku dla Amerykanów przez Amerykanina, pana Van Normana.

W oryginale tytuł jej brzmi „*Poland the Knight among the Nations. By Louis F. Van Norman*". — (Polska, jako rycerz między narodami").

We wstępie do książki, pisze p. Helena Modrzejewska wielka, a tak dobrze znana Stanom Zjednoczonym artystka:

„Spostrzegłam jedną szczególnie piękną cechę w narodzie amerykańskim. Jest nią, że wy nie wyrabiacie o niczem sobie przekonania na podstawie tego, co wam mówią o tem obcy ludzie. W ostatnich zwłaszcza latach Amerykanie wydali kilka wyroków, opartych na ich własnym niezależnym sądzie i niektóre z tych wyroków przyjął później świat cały. Wyście pierwsi „odkryli" Sienkiewicza. Nie przyjęliście go na podstawie wyroku krytyków francuskich, niemieckich, lub angielskich. Poznaliście wielkość jego waszą własną rodzimą przenikliwością i dziś świat cały przyznał racyę waszemu sądowi. Uważam więc za wielce właściwe, aby rodowity Amerykanin przedstawił poraz pierwszy narodowi amerykańskiemu prawdziwą Polskę, kraj Sienkiewicza".

We własnem słowie wstępnem autor powiada, że jest pierwszym Amerykaninem, który poświęcił rok życia na zwiedzenie wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej polskiej i jako taki, spisuje co widział i słyszał w tym domu narodu, pozbawionego bytu politycznego, w tym kraju, gdzie od stu lat odgrywa się dramat godny Homera lub Tacyta.

„Jest bardzo wiele uderzających kontrastów między Polską i Stanami Zjednoczonymi; lecz jest też i niemało tak uderzających podobieństw, że studyowanie dziejów Polski i jej obecnego położenia powinno posiadać dla nas szczególny interes. My, Amerykanie, jesteśmy obywatelami państwa młodego, potężnego, czynnego, które jest tarczą wolności i ucieczką ludów ujarzmionych. Polska, jeżeli można wciąż jeszcze mówić o niej jako o państwie, jest bardzo starą. Od stu lat przeszło jest ona w więzach, bez żadnej możności życia czynnego, z wyjątkiem jej krótkich wstrząśnień rewolucyjnych. A jednak ile jest podobieństwa między tymi dwoma narodami! Obydwa są waleczne do szaleństwa. Obydwa zamieszkują kraje, które są kofederacyami. Połączenie się bowiem w roku 1569 Polski, Litwy i Rusi było pierwszą dobrowolną konfederacyą niezależnych państw w Europie. Obydwa narody hołdują obieralnej formie rządu; obydwa, głęboko religijne, odznaczały się zawsze tolerancyą względem wszelkich wyznań. Obydwa kochają wolność nad życie. I nareszcie najwięksi bohaterowie obydwóch narodów — Waszyngton i Kościuszko, walczyli obok siebie za niepodległość Ameryki. Lecz jest jeszcze jedna racya, dla której znajomość duszy polskiej ma dziś wielkie znaczenie dla każdego Amerykanina. Blisko trzy miliony ludzi z tego tak wysoko rozwiniętego narodu słowiańskiego, mieszka dziś między nami i szybko się zaczyna stawać kością i mózgiem narodowego życia amerykańskiego. Poznanie więc charakteru i geniuszu tej dzielnej rasy, pomoże nam do zrozumienia niejednego z czynników najpilniejszych zadań naszego własnego życia narodowego".

Powyższe cytaty świadczą o duchu, przenikającym całe dzieło. Jest to duch miłości wielkiej, duch wiary w siłę i wartość narodu polskiego, duch nadziei lepszej jego przyszłości.

Książka Van Normana składa się z dwudziestu rozdziałów.

Rozdział pierwszy, wskazawszy historyczne zasługi Polski, uważa misyę Polski za nieskończoną. Autor na poparcie swojej myśli cytuje słowa jednego ze sławnych historyków naszych: „W roku 1800 modliliśmy się o to, aby nam pozwolono żyć, w 1900-m wiemy, że żyć będziemy".

Po obrazie obecnej Galicyi i przepięknym opisie „serca Polski", Krakowa, po całem studyum poświęconem zaborczej polityce Niemiec i skonstatowaniu, że patryotyzm polski stanowi najpotężniejszą zaporę parciu niemczyzny ku wschodowi, autor przechodzi do Królestwa, nazywając je europejskiemi wrotami Rosyi.

Rozdział szósty poświęcony jest cały „środkowi geograficznemu Europy", jak p. Van Norman nazywa Warszawę. Potem zwrot ku przeszłości — wyprawa wiedeńska, epopeja kościuszkowska, zwiedzanie Zbaraża, Kamieńca, „by oddaś pokłon duchowi pana Michała (Wołodyjowskiego)", wreszcie „Mekki" polskiej — Częstochowy.

Silnym, pięknym i prawdziwym jest rozdział, zatytułowany: „Co Polska zawdzięcza swoim kobietom".

„Jeżeli nie wynaleziono dotąd recepty — pisze autor — na zrobienie z Polaka Niemca lub Rosyanina, stało się to dlatego, że kobiety polskie uchroniły źródło życia narodowego od brudu i zepsucia. Jeżeli rycerze polscy wszystkich wieków walczyli w szeregach wojsk całego świata przeciw hordom tyranii, działo się to nie dlatego, że byli oni żołnierzami od urodzenia, lecz dlatego, że wyssali patryotyzm z mlekiem swych matek, które nuciły nad ich kołyskami pieśń miłości Ojczyzny. Nie może zginąć naród, którego kobiety stawiają patryotyzm ponad wszystko. Dopóki żyje choć jedna kobieta polska, Polska zaprawdę jeszcze nie zginęła".

A oto druga siła Polski — chłop.

„Chłop polski — pisze Van Norman — to uosobienie patryotyzmu. Jestto człowiek szanujący się, niezależny, silny, zazwyczaj moralny, wesoły i umiarkowany. Czasami bywa niesforny, lecz niesforność tkwi we krwi każdego Polaka. Gdy emigruje, traci nieco ze swych zalet. Jest on nadzieją narodu".

Cały jeden rozdział poświęcony jest żydom polskim, rozdziały następne muzyce, malarstwu i poezyi polskiej, rozdział siedmnasty — Kopernikowi.

Pisząc o wizycie swojej u Sienkiewicza w Zakopanem autor nazywa go „nowożytnym tłómaczem Polski". Ostatni rozdział książki daje dość dokładny szkic życia Polaków w Ameryce, których liczbę książka określa na przeszło trzy miliony.

Balonem z Niemiec do Anglii.

Znany aeronauta niemiecki dr. Kurt Wegener odważył się na dość śmiałe przedsięwzięcie odbycia podróży z Niemiec do Anglii balonem. Ta jazda napowietrzna powiodła się w zupełności, a trwała bez przerwy godzin 40.

Dr. Wegener odbył tę podróż przed dwoma tygodniami w towarzystwie pp. Teodora Boehma z Offenbachu i Sauerweina, obserwatora meteorologicznego oddziału Towarzystwa dla badań fizycznych w Frankfurcie nad Menem, w balonie napełnionym wodorodem, a będącym własnością tegoż Towarzystwa. Wzlot odbył się w czasie pięknej pogody z Rheinfelden. Balast składał się z 45 worków, a prowiant złożony z kotletów, czekolady i owoców obliczony był na półtora dnia.

O tej podróży napowietrznej zdał dr. Wegener relacyę w *Berliner Local Anzeiger*, skąd wyjmujemy najbardziej zajmujące ustępy. Dr. Wegener pisze:

W pełnem świetle słonecznem wzniósł się balon w powietrze. Na południu rysował się wspaniały łańcuch Alp berneńskich, na północy widniał Czarny las, a na zachodzie z poza mgły porannej przebijały się Wogezy. Z powodu bardzo licznych przewodów, doprowadzających prąd elektryczny do rozmaitych fabryk, balon został odrazu silnie w ruch puszczony, skutkiem czego już w pierwszej chwili wznieśliśmy się na wysokość 700 metrów. Balon płynął powoli na północny zachód, ku dolinie Renu, w kierunku na Wogezy.

Pod nami rozciągały się w krasie jesiennej bory Czarnego lasu. Około godziny 11 znaleźliśmy się nad Renem i nie zmieniając ani kierunku, ani szybkości, dotarliśmy do Rappoldsweiler. Spostrzegliśmy, że najniższa warstwa powietrza miała prąd ku południowi, w kierunku na Alpy, od których dosyć znacznie byliśmy oddaleni. Mieliśmy zamiar pozostać w pobliżu Alp i wzdłuż nich płynąć. Z tego powodu opuściłem balon do warstw najniższych. Około południa ożywiły się wioski pod nami. Odezwały się dzwony, a drogami z kościoła ciągnęły procesye zaduszne ku cmentarzom. Płynęliśmy z coraz większą szybkością, ale mimo to pociągi towarowe, dążące w tym samym kierunku, prześcigały nas.

Na dnie ciasnej trochę dla trzech osób łodzi, mającej 90 centymetrów szerokości, a metr i 10 centymetrów długości, usiadłem niezbyt wygodnie, a kierownictwo balonu powierzyłem towarzyszom. Skutek był ten, że balon „uciekł". Wzniósł się szybko w wyższe warstwy powietrza i popłynął ku północnemu zachodowi, w stronę Wogezów. Zamierzona podróż nad Alpami przepadła oczywiście. Zapadła noc. Pod nami ciągnęły się czarne pasma Wogezów. Musieliśmy się wznieść na wysokość 2.000 metrów, ażeby uniknąć rozbicia na którymkolwiek z wierzchołków. Zapanowało dotkliwe zimno. Po raz pierwszy spostrzegliśmy różnicę w oświetleniu francuskich i niemieckich miejscowości, widzieliśmy po stronie francuskiej całą okolicę, poprzecinaną pasmami świateł w najrozmaitszych kierunkach. Z przepaści górskich dolatywał szum potoków, słychać było ryki jeleni. Na cmentarzach widać było światła różnokolorowe. Aż do północy rozbrzmiewały zaduszne śpiewy chóralne i odgłosy dzwonów. Jedna jeszcze okoliczność wskazywała, że płynęliśmy nad ziemią francuską. Oto w Niemczech z wież kościelnych zegary wybijały północ wedle czasu środkowo europejskiego, tutaj zaś słyszeliśmy wyraźnie bicie godziny 11.

Po północy straciliśmy świadomość kierunku. Dopiero nad ranem spostrzegliśmy słupy ognia w piecach. Znajdowaliśmy się nad zagłębiem węglowem koło St. Johann i Saarbrücken, balon więc płynął ku północy. Gdy słońce wschodziło, wznieśliśmy się na wysokość 2,700 metrów. Powietrze było jasne, tylko na zachodzie rozciągał się wał chmur, brzemiennych deszczem. W ciągu popołudnia płynęliśmy powoli przez Belgię, a później w kierunku południowo-zachodnim ku północnej Francyi. Tutaj po raz drugi straciliśmy świadomość kierunku, w tym wypadku z powodu braku map. Ku zachodowi słońca balon znowu opuścił się do niższych warstw powietrza i zaczął płynąć ku wybrzeżu morskiemu. Sądziliśmy, że znajdujemy się w pobliżu Brukseli, a wcale nie pragnęliśmy dostać się nad morze. Postanowiliśmy wyjaśnić sytuacyę za pomocą głośnych okrzyków. Na pytania w języku holenderskim nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Rzuciliśmy pytania w języku francuskim, czy znajduje się w pobliżu jakie większe miasto. Posypały się w odpowiedzi nazwiska rozmaitych miast, których, niestety, na mapie naszej nie było. Zapytaliśmy o nazwę departamentu i otrzymaliśmy odpowiedź: „Pas de Calais".

Jeden z moich towarzyszy przyrzekł swojemu krewnemu w Londynie, że przybędzie tam balonem. Przypadek zrządził, że mogliśmy to przyrzeczenie wypełnić. Postanowiliśmy puścić się przez morze. Posiadaliśmy jeszcze 18 worków balastu, który w zupełności wystarczał. Tymczasem zapadła noc. Po raz wtóry zapłonęły pod nami światła we wsiach i miastach. Płynęliśmy ku morzu. Ludność rychło spostrzegła nasze latarnie. Sądząc, że płyniemy wbrew naszej wiedzy nad morze, wołano z dołu: *La mer, la mer!* Zdala dolatywał już głuchy szum fal morskich. O godzinie 7 wieczorem, w odległości około 4 kilometrów od Calais, minęliśmy brzeg morski. Przez dwie godziny widzieliśmy światła latarń morskich, tudzież eskadrę angielskich okrętów wojennych, które, jak się zdaje, odbywały ćwiczenia nocne.

Wkrótce ujrzeliśmy łunę świateł w Folkestone i Dower, a w dali odblaski na horyzoncie wskazywały, iże się zbliżamy do stolicy Anglii. Tymczasem balon posuwał się coraz wolniej, tak, iż dopiero około 10 w nocy znaleźliśmy się nad ujściem Tamizy. Powoli płynęliśmy wzdłuż brzegów rzeki, zasianych światłami. Znaleźliśmy się wreszcie nad północnym krańcem Londynu. City pokrywała powłoka mgły, nasyconej światłem. Przedmieścia wyraźnie rysowały się pod nami. Obawiając się przewodów tramwaju elektrycznego, posunęliśmy się jeszcze dalej i wylądowaliśmy na świeżo zoranej roli. Była godz. 1 m. 25 po północy. Bez obcej pomocy zapakowaliśmy nasz balon, poczem pieszo udaliśmy się do najbliższej stacyi kolejowej. Rano około godz. 11 przybyliśmy do Londynu. Była to druga podróż balonem z Niemiec do Anglii, a trwała krócej o dwanaście godzin od pierwszej podróży, przedsięwziętej przez aeronautów z Berlina.

Mały feljeton.

Onomatologia.

Pewnego dnia — opowiada w *Matin* Jan d'Orsay — zjawił się u mnie jegomość o czole wyniosłem i brwiach krzaczastych. Przedstawił mi się jako p. de Rochetal, profesor grafologii i prosił o dziesięć minut posłuchania. Nie czekając na moją odpowiedź, wyjął z kieszeni plikę papierów.

— Bo muszę panu powiedzieć — zaczął — że wynalazłem nową naukę. Zowie się onomatologia i zasadza się na—poznawaniu charakterów wedle imion. Zobowiązuję się określić usposobienie człowieka — z jego biletu wizytowego. Imię daje klucz do poznania wad i przymiotów. Julinsz nie może być podobnym do Leopolda, Julia różnić się będzie zawsze od Maryi. Alicya! O! nie wierz pan nigdy Alicyom!

Spostrzegł, że się niedowierzająco uśmiecham.

— To rzecz zupełnie poważna — rzekł z naciskiem. — Jest to owoc moich dwudziestoletnich studyów. Za samą pracę nad tym przedmiotem należy mi się trochę szacunku — dodał, patrząc na mnie z wyrzutem.

Rzucił na stół swoją plikę papierów.

— Ułożyłem — mówił — katalog z dwustu imion. Przy każdem imieniu jest odpowiednia charakterystyka. I śmiem twierdzić, że katalog winien się znajdować w biliotece każdego rozumnego człowieka. Mogą mnie wyśmiewać tylko ci, którzy nie zdają sobie wogóle sprawy z doniosłości wszelkiej wiedzy. Niech tacy żenią się, nie zważając na imiona kobiet, niech dają dzieciom na chrzcie takich patronów, którzy im nieszczęście przyniosą. To już ich rzecz. Ja spełniłem mój obowiązek — tem gorzej dla tych, którzy mnie słuchać nie zechcą.

— Jakto! mój panie! — zawołałem —twierdzisz pan, że wyborem imienia stanowię o przyszłych wadach lub zaletach mego syna. To niedorzeczne!

P. de Rochetal spojrzał na mnie wzgardliwie.

— Proszę mi udzielić pięciu minut dla wyjaśnienia sprawy, a pozorny absurd ukaże się panu w innem świetle. Muszę zacząć od zaznaczenia, że każda epoka miewa swoje ulubione imiona. I tak naprzykład: od r. 1830 do 1880 była era — Juliuszów. Juliuszowie są pozytywiści, filistrzy, egoiści, ludzie praktyczni. Nie próbuj pan zwracać się o pożyczkę do Juliuszów — nie da ci żaden.

— Wiem coś o tem — szepnąłem — ale, gdybyż tylko sami Juliuszowie nie chcieli mi pożyczać pieniędzy!

— Obecnie przyszła moda na Emilów, Pawłów, Jerzów, Jakóbów. Nasze babki nie wstydziły się nosić imion: Katarzyny, Doroty, Anny. Dziś mamy: Yvonny, Paole, Janiny. Że też ludzie nie zmiarkowali, iż pewne imiona od paru tysięcy lat stoją pod pewnym znakiem. Sw. Piotr, założyciel Kościoła Chrystusowego, z pokolenia w pokolenie przekazuje ludziom spokojną energię, cierpliwość, zmysł porządku, ładu, organizacyi. Pawłowie na wzór swego patrona, wielkiego apostoła, są wymowni, żywi, pełni zapału i żądzy czynu. Jerzowie, tak jak święty pogromca smoka, odznaczają się dużym wzrostem, pięknością, siłą.

— A teraz zechciej pan zauważyć — ciągnął dalej — Leonowie bywają rozumni, skromni. Ludwikowie pracowici, ale porywczy. Janowie — namiętni, przekorni. Henrykowie!... O! nie mogę dość gorąco zalecić rodzicom, aby dawali swym synom to imię. Uczciwość, energia, szlachetność i rozum są jego cechami.

Teresy, na wzór świętej z Avili, bywają słodkie, idealne marzycielki o wybujałej fantazyi. Heleny, zwykle piękne i — płoche. Wzięły to podwójne dziedzictwo po żonie Menelausa. Aniele są ogromnie zdolne, a przytem bardzo dobre. Zuzanny bywają lekkomyślne. O Alicyach — lepiej nie mówić: egoistki, złośnice, mają głowy zaprzątnięte myślami grzesznemi. Julie — odznaczają się wielką pobudliwością, temperamentem ognistym. Stefanie są anielskiej dobroci. Ludwiki mają dobry charakter, ale słaby umysł. Pauliny bywają piękne i kochane przez męższyzn. Potrzebują silnej ręki. Janiny są energiczne i rozumne. Eugenie miewają natury słabe, w pożyciu są łatwe. Marty samowolne i dzielne. Haliny są pełne wdzięku i bezgranicznej naiwności

— Ale dość już na dzisiaj — zakończył p. Rochetal — onomatologia, mój panie, jest nauką przyszłości i odda dzieciom naszych dzieci przysługi olbrzymie.

KRONIKA.

Lwów 19 listopada.

JE. Metropolita X. Szeptycki wyjechał na dłuższy czas na prowincyę.

Wiceprezydent ministeryalny dr. Twardowski powołany został do kierowania biurem ministeryalnem dra Gessmanna.

Prezesem Koła polskiego w dumie wybrano wszechpolaka Dmowskiego.

W Czytelni katolickiej odbędzie się we czwartek dnia 21 b. m., o godzinie 7-ej wieczorem ciąg dalszy pogadanki p. t. „O wrażeniach z podróży do Ziemi świętej", którą zagai pan d' Abancourt.

Setna rocznica urodzin Słowackiego. Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza obradowało onegdaj nad sposobami uczczenia setnej rocznicy urodzin Słowackiego, przypadającej, jak wiadomo, już w roku 1909, czyli za dwa lata. Referował sprawę dr. Wiktor Hahn. Rocznica urodzin Słowackiego — proponował prelegent — jako obchód ogólno-narodowy, powinna być uroczyście obchodzona we wszystkich trzech zaborach Polski przez uroczyste obchody w szkołach, odczyty, przedstawienia dramatów Słowackiego w teatrach, przez wydawnictwa monografij poety i dzieł jego, zorganizowanie w roku jubileuszowym zjazdu literackiego i wreszcie przez wzniesienie pomnika. W dyskusyi zabrał najpierw głos radzca szkolny p. Dworski, który podjął sprawę obchodów po szkołach i prac o Słowackim; pp. Fryling i Baranowski żądali porozumienia się w sprawie budowy pomnika z już powstałym komitetem teatralnym i wogóle postawienia tej sprawy ze względu na finansowe trudności, na dalszym planie. Po odesłaniu tych i paru innych wniosków do komitetu, wybrano członków do komitetów literackiego i obchodowego. Prezesem honorowym komitetu wybrano p. Antoniego Małeckiego, prezesem ogólnym prof. Kallenbacha, a prezesem sekcyi naukowo-literackiej prof. Bruchnalskiego.

Ze sztuki. W wielkiej IV-tej wystawie jesiennej, której otwarcie odbyło się w niedzielę, biorą udział: Augustynowicz, Axentowicz, Basek, Błotnicki, Bratkowski Broszkiewicz, Ćwikliński, Czajkowski, Drexlerówna, Fabiański, Fałat, Gawlikowski, Gwozdecki, Harasimowicz, Hoff, Hofman, Janowski, Kossak W., Kwiatkowski, Makarewicz, Malczewski, Masłowski, Modrakowska, Pająkówna, Rejchan S., Reyzner, Rozwadowski, Rychter-Janowska, Rybkowski, Sęk, Sichulski, Skoczylas, Stefanowicz A., Stefanowicz K., Trusz, Wachtel, Winterowski.

Morderstwo. Śledztwo policyjne wykazało, że młody człowiek, którego zwłoki znaleziono wczoraj w kamieniołomach p. Franca, na końcu ulicy 29 Listopada, nazywał się Wilibald Romuald Mallocco, był elektrotechnikiem u Rosemana przy ul. Jagiellońskiej i liczył 22 lat. Onegdaj wieczorem przechodził on ulicą 29 Listopada, a zasłyszawszy muzykę w domu pod liczbą 45, gdzie właśnie odbywało się wesele Benedykta Natanka, stelmacha z Kozielnik, z córką murarza Zajączkowskiego, wstąpił tam i zaczął domagać się poczęstunku. Podobno poczęstowano go chętnie i hojnie, nie przyjęto go jednak do izby, lecz wyniesiono mu napitek do sieni. Mallocco — wedle zeznań pewnej części gości — miał się tem bardzo obrazić i wszczął wielką awanturę, która dała następnie powód do bójki. W bójce Stanisław Obłąk i Ludwik Stankiewicz, zadali mu kilka bardzo ciężkich ran w głowę dzbankiem. Uderzenia były tak silne, że dzbanek się pogiął. W końcu wyrzucono Malloccę z sieni. Według innej relacyi, Mallocca miał wejść na wesele wprawdzie mocno już pijany, ale awantur żadnych nie wszczynał. Tylko kilku gości weselnych, oburzonych pojawieniem się na weselu obcego, nieproszonego człowieka, odrazu rzuciło się ku niemu i wyrzuciło go do sieni, gdzie bito go zrazu blaszanym dzbankiem po głowie, a później powalono go na ziemię i kopano butami. Ostatecznie po jakimś czasie Mallocco znalazł się na ulicy i ruszył w górną stronę ulicy 29 Listopada, znacząc ślady krwią. Podobno parę razy upadł na szynach tramwajowych, wszczynał sprzeczki z przechodniami, aż wreszcie wszedł w bezludną uliczkę, wiodącą do kamieniołomów p. Franza.

Jeden z gości weselnych, Ludwik Kustanowicz, praktykant elektrotechnicznej pracowni, w której Malocco był zajęty, opowiada, że będąc świadkiem pobicia Malocca i wyrzucenia go na ulicę, udał się za nim i śledził zdaleka jego kroki. Widząc, że Malocco skręcał w uliczkę, prowadzącą na bezludne ogrody i sadzawkę przy kamieniołomie, przystąpił do niego i chciał go odwieść od tego zamiaru. Malocco jednak nie dał się powstrzymać, mówiąc, że idzie spać do szopy p. Franza. Kustanowicz odszedł i dosłyszał dolatujące z ogrodu gwałtowne szczekanie psów, i miał takie wrażenie, że psy rzuciły się na Malocca. Co się stało dalej, nikt nie wie. Przypuszczają, że Malocco uciekając przed psami, wpadł w dół kamieniołomu, a następnie w wodę i ugrzązł w mule, który w tem miejscu jest przeszło na pół metra głęboki. Możliwe też jest, że spostrzegłszy wodę, wszedł do dołu orzeźwić się nią, lub obmyć z krwi i wpadł przytem do wody, a następnie starał się wydobyć, lecz siły go opuściły wskutek upływu krwi; położywszy się na plecy, oczekiwał strasznej śmierci.

Śp. Malocco, był synem betoniarza, który przybył do Lwowa z Wenecyi. Koledy jego twierdzą, że był porządnym człowiekiem i nie oddawał się nałogowo pijaństwu.

Ponieważ z zeznań świadków okazało się, że najwięcej znęcali się nad Malocciem 19-letni kowal Stankiewicz i 24-letni ślusarz Obłąk, przeto obu ich zaaresztowano pod zarzutem ciężkiego uszkodzenia ciała.

Zamach samobójczy. W hotelu saskim dokonała wczoraj zamachu samobójczego przez napicie się tynktury jodowej, 22-letnia Anastazya Kolikowska, z Tarnopola.

Z zamachem tym połączona jest jakaś tajemnicza sprawa. Desperatka przyjechała do hotelu przed kilkoma dniami z p. Wiktorem K., podobno aptekarzem, który onegdaj nagle wyjechał. Wczoraj otrzymała p. Kolikowska od niego list następującej treści:

„Jeżeli będę żył, to zaraz napiszę, najdroższa moja biedna Nano! Przepraszam Cię bardzo, że tak odjechałem, nie mówiąc ci nic, ale nie mogłem Ci mówić, bo byłabyś mnie nie puściła, a nie mogłem umierać, nie zapłaciwszy długu tym, którzy zniszczyli moje życie. Błagam Cię i zaklinam na naszą miłość i na zmarłą matkę, nie rób sobie nic, przecierp, a może będzie wszystko dobrze. Przez rodzinę . . . . . . straciłem wszystko, ojca i matkę i majątek, oni muszą to zapłacić. Jestem w Stryju, co będzie, nie wiem, za chwilę stanę oko w oko z moimi wrogami. W razie, by mnie zamknęli, albo bym umarł i nie powrócił, to niech gospodarz odbierze rzeczy z kolei, jak przyjdzie aviso, niech sprzeda moje i ściągnie sobie. W razie, by mnie zamknęli, staraj się ze mną widzieć. Co się dzieje we mnie, tego nikt nie opisze, waryuję formalnie. W razie zginę, to bądź przekonaną, że z Twojem imieniem na ustach. Dzięki Ci najdroższa moja za wszystko, jeżeli nam Bóg nie dozwoli złączyć się na tym świecie, to na tamtym. Jeszcze wszystko może być dobrze. Twój do śmierci kochający Wiktor".

Desperatkę odwieziono do szpitala, gdzie jej wypompowano zawartość żołądka. Jak się zdaje, wróci ona niebawem do zdrowia.

Wystawa Związku studentów architektury otwartą została w niedzielę w gmachu politechniki i oglądać ją można codziennie od godziny 10 rano do 4 popołudniu. Wystawa obejmuje nietylko prace czysto techniczne z zakresu budownictwa, lecz także amatorskie prace ze wszystkich dziedzin sztuki. Dobrze reprezentowaną jest rzeźba i malarstwo. Rysunków wystawiono tego roku znacznie mniej, aniżeli w roku poprzednim, a wbrew oczekiwaniu naszemu nadzwyczaj mało postarano się o prace architektoniczne, które przecież dla studentów architektury powinny stanowić główny przedmiot studyów. W rzeźbie okazuje niezwykły talent p. Robert Ludwig. Zajmuje się on głównie fragmentami z życia myśliwskiego i przedstawia takie sceny, jak walkę psa z borsukiem, napad psów na dzika, walkę lisa z dwoma krukami o padlinę zająca i t. p. Niektóre z tych rzeczywiście wybornych rzeźb były niedawno temu wystawione w Towarzystwie przyjaciół sztuk pięknych. Anatomię, charakter zwierzęcia i życie w danej sytuacyi trafia p. Ludwig doskonale, a szczególniej udają mu się postacie psów myśliwskich.

Z prac malarskich zasługują na uwagę akwarele p. Tadeusza Nowakowskiego (śnieżne szczyty górskie i widoki miast), dekoracyjne koncepcye p. Walewskiego, olejno malowane widoki z Rozwadowa nad Dniestrem p. Kazimierza Rungego, rytownicze prace p. Kazimierza Nowakowskiego, wzory dekoracyjne na talerze p. Antoniego Budkowskiego i majoliki p. F. Budkowskiego. Ponadto biorą udział w wystawie: Adam Batycki (akwarele), Jan Bagieński (szkice olejne), B. Krauze (olejne studya), J. Struszkiewicz (rysunki), Czesław Wolff, J. Michalski, J. Protschke, Wilhelm Rudy i Aleksander Petsch. Architektoniczne prace wystawili pp. Zygmunt Ostafin (projekt przebudowy ratusza w Przemyślu), Tadeusz Nowakowski (grobowiec dla państwa Kłosowskich) i Kazimierz Trojanowski (projekt fasady szkoły rolniczej w Brzostowie). Pan Antoni Rudkowski wystawił sumiennie opracowany pomysł słupa kamiennego z ornamentami takiemi, jakie się widuje na starodawnych drewnianych słupach w Polsce.

Ogólny poziom wystawionych prac jest znacznie lepszy, niż był na wystawie ubiegłego roku; obrazki i rysunki traktowane są więcej na seryo, ale życzylibyśmy sobie, żeby w przyszłości zwracano baczniejszą uwagę na rysunki architektoniczne, bo

z nich dopiero można sobie wyrobić zdanie o prawdziwem uzdolnieniu i pilności studentów architektury.

Emigracya do Nikaraguy. Wedle informacyi ministerstwa spraw wewnętrznych rozpoczął się ma wkrótce na wielkie rozmiary werbowanie osiedleńców dla Nikaraguy w Ameryce środkowej. Pas ziemi, na którym mają osiadać się emigranci, nie jest znany; niewiadomo też nic o jego właścicielach, ani o warunkach, pod jakimi ziemia oddawaną będzie przybyszom. Zaznaczyć więc trzeba, że Nikaragua leży w strefie gorącej, w znacznej części tego kraju panuje klimat wprost zabójczy dla Europejczyków. Na razie przebywa tam bardzo niewielu poddanych austryackich, a wobec znacznych odległości i braku komunikacyi przywołanie w razie potrzeby interwencyi konsulatu napotyka na znaczne trudności. Wobec tego odradzać należy jak najusilniej emigracyi do Nikaraguy.

Z Petersburga nadchodzi wiadomość, że osławiony Schmidt, redaktor *Mińskiego Słowa*, renegat niemiecki, udający ultrapatryotę rosyjskiego, wybrany posłem do dumy z Mińskiej gubernii, pracuje w dumie nad założeniem „Kresowego związku prawdziwych Rosyan" w celu walczenia z Polakami i wyzyskiwania każdego błędu, jakie Koło polskie popełni.

Z Wilna donoszą, że władze tameczne zaczynają mocno ścigać pisma polskie. Zwłaszcza ogromnie prześladują wszelkie dążenia do podniecania szowinizmu narodowego, który w ostatnich czasach począł mocno się szerzyć wśród prasy polskiej na Litwie wskutek tego, że nieproporcyonalnie do liczby czytelników wzrosła liczba dzienników. Żeby więc zdobyć prenumeratorów pisma zaczęły się przelicytowywać w patryotyzmie, a przelicytowując się, weszły bardzo łatwo na tory szowinistyczne.

Obywatele rumuńscy przed sądem. W Crajowej, w Rumunii, toczy się od paru dni proces przeciw trzem właścicielom dóbr ziemskich w Rumunii: Aleksandrowi Parainau, Tache Basiliu i Aurelianu Marculescu, oskarżonym o to, że w czasie rozruchów chłopskich w Rumunii, na własną rękę ukarali siedmiu chłopów śmiercią.

Wedle zeznań oskarżonych rzecz miała się tak: Aleksander Paraianu, otrzymawszy w dniu 30 marca b. r. wiadomości od swego rządcy dóbr w Kasnicu, że tamtejsi chłopi zamierzają dwór spalić, udał się niezwłocznie do prefektury w Doli z prośbą o asystencyę wojskową, tam mu jednak poradzono, ażeby się bronił na własną rękę, gdyż prefekt nie ma ani jednego żołnierza do rozporządzenia. Wówczas Paraianu z swymi przyjaciółmi Basiliem i Marculeskiem, uzbroiwszy się w karabiny, pośpieszył do Kasnicu, gdzie zastali chłopów przy rabunku. Chłopi na ich widok zbiegli — bojarom udało się jednak siedmiu z nich przytrzymać. Gdy w jakiś czas potem na wieść o ich przybyciu przed dwór zbiegła się ludność z całej wsi uzbrojona w cepy, kosy i siekiery, domagając się wydania jeńców, a nadomiar więźniowie z nożami w ręku rzucili się na Paraiana i jego towarzyszy, w obronie własnej wszystkich siedmiu położyli trupem.

Wedle zeznań świadków sprawa przedstawia się inaczej. Oto Paraianu i jego dwaj towarzysze przybyli do Kasnicu konno i zbrojno, Paraianu w mundurze oficera — i schwytawszy siedmiu chłopów, zaimprowizowali rodzaj sądu wojennego. Tache Basiliu był sędzią śledczym, Marculescu prokuratorem, Paraianu, jako oficer — wykonawcą wyroków. Sąd załatwił się krótko — wszystkich obwinionych skazał na śmierć. Paraianu ustawił jeńców rzędem i jednego po drugim mordował strzałami z rewolweru.

Proces rozpisany jest na kilka dni i w całej Rumunii budzi wielkie zainteresowanie.

Pomnik Marata. We Francyi powstała myśl dziwaczna wystawienia w Paryżu Janowi Pawłowi Maratowi, owemu prawdziwemu „apostołowi anarchii", pomnika, i to w najpiękniejszej dzielnicy paryskiej, w pobliżu Tuilleryów.

Żaden z działaczy wielkiej rewolucyi nie wzbudzał tylu nienawiści i tylu namiętnych uwielbień, jak Marat — właściwie Mara. Pochodzenie jego było hiszpańskie. Urodził się w Szwajcaryi — w Neufchâtel. W życiu swem odegrał — podwójną rolę. Jako *chevalier* de Saycourt był dworzaninem monarchii, następnie rzucił się w wir rewolucyi; pisywał uczone dzieła o filozofii, optyce, zastosowaniu elektryczności do medycyny, a jednocześnie tworzył bardzo płoche romanse, jak: *Les Aventures du jeune comte Potowsky*.

Zanim go dosięgnął sztylet Charloty Corday, był już na śmierć skazany — przez naturę. Trybun ludowy miał trąd: całe jego ciało było pokryte ranami, członki dotknął bezwład, z uszu i nosa wyciekała ciecz gryząca. Doznawał ulgi tylko w kąpieli. Gdy go zamordowano Marata postanowiono wystawić jego zwłoki na widok publiczny, wówczas to kłopot niemały, bo już w kilka godzin po śmierci zaczęły się rozkładać w sposób okropny. Urzędowy malarz Dawid — twarz pobielił kredą, zasypał rany gipsem, zakrył ciało płótnem i namalował na niem rzęsy, podobne aż do złudzenia. Powieki podniesiono za pomocą sprężynek, oczy patrzyły groźnie, jak za życia. Silne olejki tłumiły woń rozkładu.

Trup czynił tak wstrząsające wrażenie, iż Callières de l'Estang wniósł projekt zamknięcia go w szklanej trumnie i obwożenia po departamentach, „aby ducha budzić". Odrzucono jednak ten wniosek. Pewien szyderca pozwolił sobie nakleić takie epitafium na trumnie:

Ci-gît Marat le bienfaisant,
Qui nous apporta l'anarchie en regnant
Et la peste en mourant.

(Tu spoczywa Marat, dobroczyńca, który, panując, przyniósł nam anarchię, umierając zaś — morowe powietrze).

Tymczasem przed pogrzebaniem, David malował portret Marata; wyasygnowano mu za to 25 tysięcy fr. Przy zwłokach odbywały się różne obrzędki bluźniercze. Kazano dzieciom śpiewać litanie do „świętego serca Marata", wyniesiono 600 obrazów świętych z kościołów i spalono u stóp katafalku. Dnia 24-go września 1794 r. odbyło się uroczyste przeniesienie zwłok do Panteonu. Trzysta tysięcy ludzi wzięło udział w tej ceremonii. Aby uczynić miejsce Maratowi, wyrzucono „nieczyste" szczątki Mirabeau, pachołkowie kata znieśli je ze schodów Panteonu i przewieźli na cmentarz w Clamard, gdzie grzebano straconych.

Marat był po śmierci uczczony, jak żaden ze sprawców rewolucyi. Wiadomo, że Robespierre zginął na szafocie. A tymczasem sława Marata rosła — sto kilkadziesiąt jego biustów, wykutych w marmurze, „zdobiło" sale ratuszowe różnych miast i miasteczek kraju. Ale jakiś dziennikarz odgrzebał i ogłosił „Projekt konstytucyi", nakreślony przez Marata, w którym zalecał była monarchiczna forma rządu. To ochłodziło zapały: „Precz z Maratem! Był rojalistą!" Po upływie tygodnia w całej Francyi zniknęły biusty „ludowego trybuna" — zastąpiono je biustami J. Jakóba Rousseau, „oczyszczono" też Panteon ze szczątków „zdrajcy". Przeniesiono jego zwłoki na cmentarz St. Geneviève.

Tak się skończyła ta krwawa tragikomedya. Dziś znowu mówią o postawieniu pomnika Maratowi...

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano — 5 R. w poł. — 2 R. Bar. 777. Spada. Śnieg.

Pociecha.

Uczeń: Au! Zdaje mi się, że usiadłem na szpilce.

Nauczyciel: Uspokój się, może to tylko złudzenie optyczne!

Ślub pana majora Seweryna Waydowskiego z panną Alojzą Lettnerówną odbył się we Lwowie 16 b. m. w kościele O. O. Dominikanów.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś: „Manon," opera Masseneta. We środę po raz 1 „Rycerze północy," dramat w 4 aktach H. Ibsena. We czwartek „Eugeniusz Onegin" Czaykowskiego. W piątek „Rycerze północy". — W sobotę o godz. 3ej popołudniu dla młodzieży szkolnej „Zbójcy," tragedya w 5 aktach Fr. Schillera z p. Żelazowskim w roli Franciszka Moora; wieczorem o godz. 7½ „Wesoła wdówka". W niedzielę o godzinie 3½ popołudniu „Halka," opera Moniuszki, debiut Andrzeja Hajeka; wieczorem o godz. 7½ „Hamlet" z p. Adwentowiczem w tytułowej roli. — W poniedziałek „Rycerze północy". — We wtorek „Mignon, opera Thomasa. — We środę po raz 1-szy „Szkoła", sztuka współczesna w 4 aktach Z. Kaweckiego. — We czwartek „Tannhäuser" R. Wagnera. — W piątek „Szkoła".

Z Filharmonii. Wkrótce wystąpi z koncertem w sali Filharmonii znana nadworna śpiewaczka opery wiedeńskiej Lucya Weidt. Jej czysty sopran obejmuje więcej jak dwie oktawy, głos z natury silny, przytem przyjemny — wprost zachwycający.

„The Empire Vio" dzisiaj i codziennie przedstawienie kinematograficzne o godz. 7½ w sali Belle-Vue przy ul. Karola Ludwika.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie. We wtorek „Królewicz Jaszczur," baśń Raczyńskiego, „Ciocia Baruch" Lipskiego i „Epidemia" Mirbeau; we środę „Opieka wojskowa" St. Bogusławskiego; we czwartek „Królewicz Jaszczur," „Ciocia Baruch" i „Epidemia"; w piątek „Cyd," tragedya Corneille'a; w sobotę „Narzeczona w depozycie," komedya P. Gavault i Rob. Charvay'a (nowość); w niedzielę popołudniu „Ożenić się nie mogę" i „Lita et Comp.," komedye Fredry; wieczorem „Narzeczona w depozycie".

Colosseum Hermanów od 16-go listopada. *Spalenie indyjskiej wdowy*, poemat taneczny, wykona Saffira Pradyaik i Segen Neville.—*„Jou-jou,"* groteska w 1 akcie. — *The Hinode*, cesarscy nadworni artyści japońscy. — *Trupa Gorbunoff*, rosyjscy śpiewacy i tancerze. — *Sigrid i Alfred Naess*, mistrzowscy łyżwiarze. — *Vitograph*, sensacyjne nowe obrazy. — 10 nowych atrakcyj! — W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godz. 4-tej i 8-mej.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Wczoraj dawano po raz czwarty doskonałą komedyę p. Zapolskiej „Ich czworo". Przedstawienie to nasunęło nam pewną smutną refleksyę. Oto sztuka p. Zapolskiej jest tak doskonałą, tak ślicznie zbudowaną, tak misternie rzeźbione są postacie, dyalog jest tak silny i charakterystyczny, że gdyby taką sztukę napisał któryś z komedyopisarzy francuskich, wystawionoby ją kilkaset razy w Paryżu przy nabitym teatrze, obleciałaby ona całą Europę i Amerykę, tłómaczonoby ją na wszystkie języki i dotarłaby w końcu do Lwowa, gdzie jako produkt muzy francuskiej doczekałaby się także czterech przedstawień Nie jestże to smutny fakt? A przecież można byłoby zaradzić temu upośledzeniu polskich autorów. Oto naprzykład mamy tylu młodych, wykształconych ludzi, nie mogących znaleźć zajęcia. Gdyby oddali się oni studyowaniu obcych języków, przyswajali je sobie doskonale i zajmowali się tłómaczeniem najlepszych dzieł naszej literatury na inne języki, toć przecie zarabialiby dobrze i szerzyli sławę polskich autorów.

Byłby z tego jeszcze i inny pożytek. Oto nasza domowa publiczność zaczęłaby cenić naszych autorów. Gdyby się bowiem dowiedziano we Lwowie, że Paryż szaleje na przedstawieniach komedyi „Ich czworo", pióra pani Zapolskiej, toby i tu tłumy pośpieszyły na tę komedyę, a przybywszy na nią, przekonałyby się, że mają przed sobą utwór niesłychanie wykwintnego i wyrobionego pióra i że utwór ten jest tak wyreżyserowany i grany we Lwowie, iż lepiej nie zagranoby go na żadnej scenie europejskiej. Panie Trapszówna, Czaplińska i Rotterowa, i panowie Chmieliński i Nowacki tworzą taki wspaniały kwintet, iż najsurowszy krytyk nie potrafiłby mu nic a nic zarzucić. A jednak sztuka doskonała, wyreżyserowana umiejętnie, grana wyśmienicie, pełna iskrzącego się dowcipu i będąca owocem bardzo głębokich studyów psychologicznych, schodzi z repertoaru po czterech zaledwie przedstawieniach. To bardzo smutno.

* **Dr. Edward Dubanowicz.** *„Stanowisko ludności żydowskiej w Galicyi wobec wyborów do parlamentu wiedeńskiego w r. 1907"*. Lwów 1907. Stronic 40.

Staraniem biura prasowego Rady narodowej zebrano i uporządkowano wyniki ostatnich wyborów do parlamentu tak, żeby stworzyć obraz stronnictw politycznych w kraju pod względem ich sił i wzajemnych stosunków w poszczególnych okręgach. Oświetlanie przebytej kampanii wyborczej na podstawie urzędowych wyników przedstawia wielką wartość dla polityków, albowiem daje im możność przewidywania faktów na przyszłość i przygotowania się do najbliższej kampanii. U nas jest ta sprawa jeszcze tem więcej aktualną, że tylko krótki przeciąg czasu oddziela nas od wyborów do Sejmu, a na terenie walk politycznych mamy do zanotowania pewien nowy objaw, który komplikuje sytuacyę i utrudnia rachunek politycznego prawdopodobieństwa. Jestto dążenie żydów do odrębności narodowej, czyli tak zwany syonizm.

Wprawdzie w dawniejszych kampaniach wyborczych trafiało się, że ludność żydowska tu i ówdzie łączyła się ze socyalistami lub Rusinami, ale nie było wypadku, aby żydzi przeforsowali kandydata socyalistycznego. Przedtem postępowanie syonistów nie nabierało cech obraźliwych dla rdzennej ludności w kraju. Pod tym względem przyniosły ostatnie wybory niespodziewaną nowość: nietylko, że syoniści bez ogródek wywiesili sztandar żydowski narodowej odrębności; nietylko, że zawierali sojusze ze stronnictwami, usposobionemi wrogo względem polskich stronnictw narodowych; ale w paru okręgach poważyli się postawić kandydatury ludzi dla nas zupełnie obcych, nie znających ani naszego języka, ani naszych stosunków. Nic więc dziwnego, że teraz wyłoniła się kwestya żydowska o zabarwieniu antysemickiem.

Po wynikach ostatnich wyborów do parlamentu muszą polskie narodowe stronnictwa baczniejszą, niż przedtem, zwrócić uwagę na kwestyę żydowską. Aby zaś nie zapanował ani przesadny pessymizm, ani znowu taki optymizm, któryby zaszkodził interesom narodu polskiego, zbadał autor niniejszej pracy na cyfrach urzędowych rozkład sił stronnictwa syonistycznego jaknajdokładniej i z nich stara się uformułować kryteryum dla przyszłych kombinacyi.

Treść broszury rozpada się na dwa rozdziały. W pierwszym rozpatruje autor stosunek żydowskich wyborców do Polaków i Rusinów w kampanii przedwyborczej. Jako szczególniej znamienny fakt podnosi autor sojusz syonistów z Rusinami. Inicyatywa do niego wyszła, jak sądzić można po informacyach prasy, ze strony syonistycznej, treść zaś układu nieznana w szczegółach, zawierała w każdym razie porozumienie, aby przy głosowaniu ściślejszem pomiędzy kandydatem polskim i żydowskim w okręgach mieszanych Rusini swymi głosami przeważyli szalę na korzyść kandydata syonistycznego, w zamian zaś za to żydzi mieli popierać kandydatury ruskie, gdzie walka toczyła się między Polakami i Rusinami. Autor dziwi się temu, że powyższy zimny i przebiegły rachunek politycznego prawdopodobieństwa zdołał chwilowo wyrównać sprzeczności i wytworzyć przyjaźń tam „gdzie po jednej stronie — wśród nieoświeconych mas ludności wiejskiej — tlała już nie podejrzliwość i skryta niechęć, ale jawna, krwią pisana nienawiść, a po stronie drugiej poczucie wyższości kulturalnej... gdzie do różnic wyznaniowych, rasowych, obyczajowych, do różnic temperamentu i charakteru przyłączył się daleko jaskrawszy, aniżeli w zachodniej częśi kraju antagonizm organizmu wyzyskiwanego i organizmu żyjącego wyzyskiem!"

Stronnictwom żydowskim musiały przy wyborach przyświecać wielkie nadzieje, skoro zgłosiły swe pretensye aż do 28 mandatów poselskich. Z wyjątkiem kandydatur „polskiej organizacyi żydowskiej", która — jak autor z uznaniem podnosi — liczyła się z interesem polskiej narodowości o tyle, że kandydatom swoim nakładała obowiązek wstąpienia do Koła polskiego w wiedeńskim parlamencie, to wszystkie inne kandydatury pomijały najzupełniej polski interes narodowy, a nadto w niektórych okręgach stanęły jawnie i bez zastrzeżeń po stronie ruskiej.

Jak silnym okazał się wpływ syonistów przy głosowaniu, to wykazuje autor w drugim rozdziale swej pracy. Wyniki głosowania znane są naszym czytelnikom ze sprawozdań, jakie umieszczaliśmy tuż po wyborach. Autor podaje je szczegółowo i rozbiera krytycznie korzyści i szkody, jakie przyniosły Rusinom i Polakom sojusze z żydami. I jedni i drudzy więcej przysporzyli żydom korzyści, aniżeli żydzi im. Oto bowiem wykazało się przy wyborach, że wyborcy żydowscy nie wszędzie okazywali równą lojalność wobec swych sprzymierzeńców, wszędzie stawiali swój własny interes polityczny ponad interes sprzymierzeńców, a w wielu wypadkach usuwali się od głosowania.

Praktycznych wniosków z tego stanu rzeczy autor sam nie chce wysnuwać, poprzestaje tylko na stwierdzeniu, że poczucie politycznej odrębności żydów wyszło nam na szkodę, że zatem ludność polska nie ma interesu popierać dalszy rozwój żydowskiego dążenia do odrębności czyto zawodowo-ekonomicznej, czy językowej, wyznaniowej lub terytoryalnej — słowem, że polityka polska, budząca i szerząca antysemityzm, stoi w sprzeczności z interesami narodu polskiego.

Z targów zbożowych.

Wiedeń, 17 listopada.

(y). Pomimo zmiany aury, jaka zaszła ostatnimi czasy w monarchii, ceny zboża nie obniżyły się wcale. Pod wpływem obaw, że długotrwająca posucha zniszczy zasiewy ozime, podniosła się cena pszenicy od września o 1¾ korony, a jakkolwiek dziś wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że owe obawy były przesadne, mimo to ceny nie spadają. Przytem można zaobserwować, że z jednej strony nadmiernie wysokie ceny skłaniają konsumcyę do ograniczenia się w zakupnach do najdalszych możliwych granic, z drugiej zaś wcale nie zwiększają podaży.

Obniżenie się cen zboża na rynkach zagranicznych nie wywarło najmniejszego wpływu na stosunki targów krajowych. Nowe cła ochronne bowiem udaremniają na razie wszelki import obcego ziarna, a ponieważ własne zbiory monarchii zaledwie wystarczą na przeżywienie ludności do najbliższych żniw, przeto i ceny są wciąż wysokie.

Ogromną sensacyę wywołał w ciągu ubiegłego tygodnia fakt, że Rosya sprowadzała dosyć znaczne ilości pszenicy amerykańskiej. W sferach handlowych kursowała jednak pogłoska, że to sprowadzanie pszenicy amerykańskiej do Rosyi jest manewrem rządu, mającym na celu obniżenie ceny pszenicy na rynkach rosyjskich.

Forsowne dowozy pszenicy amerykańskiej do Europy zmniejszyły się cokolwiek ostatnimi dniami. W poprzednim tygodniu jednak dowieziono do Europy samej pszenicy ze Stanów Zjednoczonych za przeszło 6 milionów dolarów. Tak wielkiego eksportu w ciągu jednego tygodnia nie było od roku 1901, wtedy jednak zbiór pszenicy w Stanach Zjednoczonych był o 100 milionów buszli większy od tegorocznego.

Dzisiejszy stan zapasów głównych gatunków ziarna, nagromadzonych w Wiedniu, jest następujący: Pszenicy 244 wagonów, żyta 238, jęczmienia 453, owsa 1.189, kukurudzy 161, soczewicy 17 wagonów.

Loco Wiedeń notowano dziś za 50 kilo następujące ceny:

Pszenica cisańska 12·90—13·40, słowacka 12·35—12·85, dolno-austryacka 12·10—12·40.

Żyto słowackie 12.00—12·20, rozmaite węgierskie 11·90— 12·15, austryackie 11·90—12.15.

Jęczmień morawski 10·—10·60, z doliny Morawy 9·—9·50, słowacki loco stacya 8·25—9·90, cisański loco stacya 7·20—8·25, jęczmień na paszę 8·—8·20.

Kukurudza stara 7·95—8·10, nowa 7·20—7·50. Cinquantin 8·60—8·90.

Owies średnie gatunki 8·50—8·70, prima 8·70—9·20.

§ **Sprawozdanie tygodniowe** Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie od 11-o do 17-go listopada. Pszenica od 12 K. 25 h. do 12 K. 50 h., żyto 11.10—11.30, jęczmień browarny 8.10—8.40, pastewny 7.00—7.50, owies 7.15 — 7.35. Kukurudza od 8.25—8.50. Groch do gotowania 10.00 do 10.50, pastewny 7.00—7.50, bobik 7.00—7.25 wyka 6.50—6.70. Koniczyna czerwona 65.00 do 75.00, koniczyna biała 45.00 — 55.00, koniczyna szwedzka 65.00 —75.00. Tymotka 30.00 do 36.00. Rzepak zimowy od 16.25—16.50, lnianka 11.00 do 11.50, nasienie lniane 11.00—11.35, nas. konopne 10.10—10.35. Oleju lniany 70.00—90.00. Nafta zwykła 12.50—13.50, salonowa 14.50—17.00. — Spirytus 10.000 literprocent gotowy, kontyngentowany 57·50 do 57.80 bez opłaty podatku. Spirytus ekskontyng. 37.50—38.00.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Kraków. Rada miejska wybrała dra Szarskiego wiceprezydentem, a p. Konopińskiego, redaktora *Nowej Reformy* do Rady szkolnej.

Wiedeń. Deputacya kwotowa przyjęła ustanowiony przez rząd austryacki i węgierski stosunek kwoty mianowicie, że Austrya będzie płaciła na wydatki wspólne 63·6, a Węgry 36·4. Obiega pogłoska, że oprócz nowego ministerstwa pracy ma być otworzone jeszcze jedno ministerstwo nowe. Dotąd jednak nie jest rzeczą zdecydowaną, jaka gałęź życia publicznego zostanie mu powierzona. Twierdzenie *Hlasu naroda* i innych dzienników czeskich, że ma to być ministerstwo szkół publicznych nie znajduje tu wiary, bo cóżby w takim razie pozostało ministeryum oświaty.

Wiedeń. W procesie dra Henryka Ebersa przeciw spadkobiercom arcyksięcia Józefa o odszkodowanie 828.000 kor. odbyła się rozprawa ugodowa. Strona oskarżona proponowała odstępne w kwocie 41.000 kor. Strona skarżąca odrzuciła tę propozycyę *a limine*.

Budapeszt. Między rządem a chorwacką delegacyą toczą się rokowania ugodowe. Pośrednikiem jest prezydent sejmu Justh, z tego powodu stronnictwo niezawisłości jest ogromnie przeciw Justhowi źle usposobione. Przypuszczają, że stronnictwo niezawisłości doprowadzi do przesilenia prezydyalnego, że Justh ustąpi, a Ludwik Hollo zostanie wybrany prezydentem.

(Depesze popołudniowe)

Kraków. Aresztowano tu wczoraj dwóch młodych ludzi z Królestwa polskiego, Stan. Gułkowskiego i Kunę Wienera, którzy należeli do tzw. spółek „zgubnych kradzieży", operujących w całym kraju. Dwóch członków tych spółek aresztowano niedawno we Lwowie. Dopuszczali się oni okradania przeważnie włościan w ten sposób, że jeden udawał jakoby zgubił pieniądze, a potem rzucali się na upatrzonego włościanina, twierdząc, że on znalazł pieniądze, rewidywali go i zręcznie go okradali, podsuwając papiery zamiast banknotów, a liczmany zamiast monet. Aresztowano tu także Gabryelską, która należała do spółki, a zbiegła z więzienia we Lwowie.

Poznań. *Dziennik poznański* donosi, że gdy niedawno biskup sufragan dr. Klemder z Pelplina podczas wizytacyi w Koronowie odbywał z dziećmi egzamin z religii po polsku, nauczyciele, którzy przyprowadzili dzieci, z rektorem na czele opuścili demonstracyjnie kościół.

Poznań. Pisma niemieckie donoszą, że Litwini z Prus zachodnich wysłali do rady związkowej i parlamentu petycyę, w której proszą, aby w mającej się uchwalić nowej ustawie o towarzystwach i zebraniach nie zakazywano używania podczas obrad języka litewskiego. W petycyi między innemi powiedziano: „Nie należy nas stawiać na równi z narodami, które chcą się odłączyć od państwa niemieckiego. Uważalibyśmy to sobie za ciężką obrazę. Umiemy cenić to szczęście, że jesteśmy obywatelami rzeszy niemieckiej". Petycyę tę tajny radzca Schwenebach wręczył osobiście ks. Bülowowi.

Wiedeń. Związek niemiecko-narodowy powziął uchwałę przeciw dążnościom „klerykalizowania" uniwersytetów, które się objawiły na ostatnim zjeździe katolickim. Związek w uchwale tej protestuje energicznie przeciw temu i poleca prezydyum swemu, aby w porozumieniu z innemi wolnomyślnemi stronnictwami przedsięwzięto wszelkie kroki celem udaremnienia tych usiłowań.

Moskwa. Zatwierdzono tu statut stowarzyszenia „Dom polski".

Petersburg. Dzienniki rosyjskie donoszą, że Duma prawdopodobnie zajmie się projektem reformy sądów miejscowych i sprawami agrarnemi. Następnie złożony będzie Dumie projekt samorządu miejscowego ułożony przez specyalną komisyę pod przewodnictwem towarzysza ministra spraw wewnętrznych Łykoszyna. Równolegle z projektem reformy samorządu będzie wniesiony projekt w sprawie robotniczej, oraz projekt prawa o stanach wyjątkowych.

Sebastopol. Na jednym z cmentarzy znaleziono 18 nabitych bomb. Ujęto trzech podejrzanych ludzi.

Jarosław. Aresztowano 5 osób, w tej liczbie trzech wychowanków seminaryum nauczycielskiego w gub. kostromskiej, którzy ograbili we wrześniu kasyera jednej z fabryk.

Rada państwa.

Wiedeń. Minister spraw wewnętrznych przedkłada projekt ustawy, upoważniającej rząd do zawarcia międzynarodowej umowy w sprawie ubezpieczenia robotników od wypadków. Minister obrony krajowej przedkłada projekt ustawy, przyznającej weteranom wojskowym prawo noszenia broni.

Odczytano pismo sądu stanisławowskiego w sprawie wydania posła Baczyńskiego z powodu obrazy czci. Poczem Izba przystępuje do dalszych obrad nad naglymi wnioskami w sprawie drożyzny.

Na dzisiejszem posiedzeniu odczytano następujące wnioski:

Olesnicki i tow. w sprawie zmiany niektórych postanowień kodeksu cywilnego i §. 351 ordynacyi egzekucyjnej; K. Lewicki w przedmiocie uwolnienienia budynków o jednej lub dwu Izbach od podatku domowo-klasowego. Interpelacye wnieśli: Wójcik w sprawie wydawania odpadków soli chłopom w Galicyi i w sprawie sprzedaży drzewa z lasów państwowych w Niepołomicach; K. Lewicki w sprawie postępowania Rady gminnej w Mieczyszczowie (pow. brzeżański); Budzynowski w sprawie wyborów do Rady gminnej w Ujściu Zielonem (w powiecie buczackim) i w sprawie wyborów w powiecie podhajeckim. Wojnarowski w sprawie rzekomych nadużyć urzędowych władz galicyjskich, Baczyński w sprawie wykonania przepisów ustawy wodnej przez starostwo stanisławowskie, Głąbiński i tow. z powodu delegowania wiedeńskiego sądu przysięgłych w znanej sprawie austryackiej poddanej Wandy Dobrodzickiej z Krakowa. Interpelanci zapytują ministra, czy gotów jest podać do wiadomości Izby przyczyny delegowania obcego trybunału w miejsce kompetentnego.

Budapeszt 19 listopada. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 13·04—13·05 (na październik 11·56—11·57); żyto na na kwiecień 12·13—12·14; owies na kwiecień 8·69—8·70; kukurudza na maj 7·68—7·69. Rzepak na sierpień 17·15—17·25. — Oferty napszenicę: mierne. — Chęć kupna: lepsza. — Usposobienie: silne. — Pogoda: zimno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 10 listopada.

Marki 117·17, renta majowa 95·50, węgierska renta koronowa 92·10, akcye: austr. zakł. kredyt. 626·75, węg. zakł. kred. 739·00, anglobanku 290·50 unionbanku 527.00, bankvereinu 516·00, länderbanku 397·00, kolei państw. 656·50, lombardy 145·25, akcye kolei Elbethal 424.00, fabryki broni 000.00, tytoniowe 000·00, alpiny 587·00, Rima Muranyi 511·00, prag. T. żel. 0000·00, losy tureckie 181·75, ruble 253.00. Usposobienie: spokojne.

5% renta rosyjska 1906 r. 86.40.

Lwów 19 listopada (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 516.— do 552.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 563·00 do 568·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 400 koron 400.— do 500·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 103·—110.—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem 109·60 do 110·30 4 i pół proc. los. w 50 lat 99·00 do 99·70, 4 proc. los. w 60 lat 94·00. do 94·70. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99·80 do 100·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 94.00 do 94·70.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i poł latach 96·50 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 93·20 do 93·90.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 97·00—97·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·00 do 101·70. Kom. Banku kraj. 4½% (3-ej emisyi) 99·30 do 100·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 92·60 do 93·30. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —.— do —.— 4 proc. z 1893 r. 95.00—95.70, miasta Lwowa 4 proc. 92.00 do 92.70, 4% bez podatku (konwers.) 94·00 - 94.70,

Monety. Dukat cesarski 11·38 do 11·43. Napoleon. dor 19·06 do 19·25. 100 ruble rosyjskie papierowe 251·00 do 254·00. 100 marek niemieckich 117·50 do 117.80.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45, 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.30, 12.00, **2.16**, 5.40, 10.50*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*, **7.05***, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.08, **2.32**, 7.24*, 11.35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: **11.30***.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6.30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla, Chyrowa: 4.05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.26, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

43)

Śledztwo starej panny.

CZĘŚĆ DRUGA.

Zakręty labiryntu.

(Ciąg dalszy).

Gdy usiadłam na poprzedniem miejscu miss Althorpe zapytała:

— Co pani myśli o owej zbrodni, spełnionej jakoby przez pana Van Burnam?

Przestraszyłam się, usłyszawszy to nazwisko, ale zauważyłam, że na chorą nie wywarło żadnego wrażenia. Pozostawała nieruchomą, a twarz jej przybrała spokojniejszy wyraz. To mnie utwierdziło w przekonaniu, że spała naprawdę, albo pozostawała w śnie letargicznym, w którym uszy i oczy nie funkcyonują.

— Myślę, że młody Howard znajduje się w przykrem położeniu. Wszystko przeciw niemu przemawia.

— To straszne, nic podobnego dotąd nie słyszałam. Nie wiem co o tem myśleć? Van Burnamowie mieli zawsze tak dobrą opinię. Franklin mianowicie używa ogólnego szacunku. Sądzę, że nic podobnego nie zdarzyło się w naszem mieście. Czy pani nie podziela mego zdania, miss Butteworth? Pani wiedziała wszystko i wiesz co o tem myślę. Biedna, biedna pani Van Burnam!

— Rzeczywiście godna jest pożałowania — odpowiedziałam, patrząc na nieruchomą twarz mojej pacyentki.

— Jak tylko usłyszałam, że znaleziono młodą kobietę, zabitą w domu Van Burnama — mówiła miss Althorpe z zajęciem — przyszła mi na myśl żona Howarda. Przyczyny nie umiem objaśnić, bo nie spodziewałam się nigdy takiej katastrofy w ich rodzinie. Nawet teraz nie mogę przypuścić, aby mąż zabił swoją żonę. Howard jest zabardzo światowcem, zanadto wrażliwym, aby był w stanie popełnić czyn tak zwierzęcy, bo w dokonaniu zbrodni było tyle zręczności, co okrucieństwa. Zastanawiała się pani nad tem, miss Butteworth?

— Tak — odpowiedziałam — rozważałam tę sprawę wszechstronnie.

— Pan Stone jest niepocieszony rolą, jaką musiał odgrywać w śledztwie. Stawił się tam przymuszony, bo policyi zależało bardzo na jego świadectwie.

— To nie jego wina — odezwałam się.

— Życzymy szczerze Howardowi, aby się uniewinnił, ale nie zanosi się na to. Gdyby jego żona wiedziała...

Zdawało mi się, że przy tych słowach powieki chorej, których na chwilę nie spuszczałam z oczu, lekko zadrżały, podniosłam rękę, aby przerwać miss Althorpe, ale spuściłam ją, przekonana, że się omyliłam.

Miss Althorpe mówiła dalej:

— Ta kobieta nie miała złego serca; była tylko próżna i lekka. Postanowiła sobie królować w domu znacznego kupca skór i nie wiedziała w jaki sposób przezwyciężyć uprzedzenia. Co do mnie, bardzo ją żałuję. Gdy ją widziałam...

Na te słowa doznałam tak silnego wstrząśnienia, że przewróciłam mały koszyczek z robótkami, którego podnieść nie myślałam.

— To pani ją widziała! — powtórzyłam, zwracając zdziwione oczy na miss Althorpe.

— Oh! i nieraz. Była nauczycielką w domu pewnej rodziny, którą znałam. To było przed jej zamążpójściem, zanim zrobiła znajomość z Howardem, czy Franklinem Van Burnam.

Byłam tak zmieszana tym razem, że mówić nie mogłam. Zwracałam tylko oczy to na chorą, to na miss Althorpe. Zdziwienie moje i wzruszenie nie miało granic.

— Widziała ją pani! — przemówiłam nakoniec.

Miałam zamiar mówić po cichu, ale dźwięk mego głosu podobniejszy był do krzyku.

— Widziałaś ją pani i przyjęłaś tę kobietę?

Na te słowa zdziwienie miss Althorpe prawie dorównało mojemu.

— No, tak, dlaczegóżby nie? Co one mają ze sobą wspólnego?

Osunęłam się na fotel. Mój pałac z kart drżał w swoich podstawach.

— Czy one... czy one... nie są do siebie podobne? — wyszeptałam głosem zdyszanym. Myślałam... wyobrażałam sobie...

— Ludwika Van Burnam podobna do tej młodej dziewczyny! Oh! nie, to była kobieta zupełnie w innym rodzaju. Co pani dało do myślenia, że one są do siebie podobne?

Nie odpowiedziałam. Gmach, który wybudowałam z takiem staraniem i ostrożnością rozbił się i zasypał mnie gruzami.

XXVI.

Pierścionki! Gdzie są pierścionki.

Gdyby tu był Gryce, byłabym natychmiast poskromiła mój zawód, ukryła zmartwienie i przybrała nieprzenikniony, zwyczajny mój wyraz, zanim miałby czas powiedzieć: „Co się pani stało?" Ale pan Gryce nie był obecnym i chociaż powstrzymywałam się ile mogłam, byłam tak wzruszoną, że miss Althorpe zapytała:

— Wydała się pani zdziwioną tem, co powiedziałam. Czy znalazł się ktoś, coby utrzymywał, że te dwie kobiety były do siebie podobne?

— Rzeczywiście był ktoś tak śmieszny. który znajdował wielkie między niemi podobieństwo.

Miss Althorpe zdawała się zastanawiać.

Przedmiot naszej rozmowy bardzo ją zajmował, ale nie dosyć, aby mogła zrozumieć wszystkie szczegóły.

— Ludwika Van Burnam miała brodę szpiczastą i oczy niebieskie, bardzo zimne, a jednak dla wielu osób twarz jej miała wiele powabu.

— W każdym razie to straszna tragedya — powiedziałam i starałam się zwrócić rozmowę na inny przedmiot, co mi się wkrótce udało.

Podniosłam koszyczek, a widząc, że chora porusza lekko ustami, zbliżyłam się do niej. Z ust jej dobywało się ciche mruczenie.

Ponieważ miss Althorpe podniosła się jednocześnie z krzesła, nie śmiałam nasłuchiwać, co moja pacyentka mówiła, dopiero gdy ujmująca gosposia powiedziała mi dobranoc, przestrzegając, abym się zbytnio nie męczyła i objaśniając, że przy drzwiach znajdę wino i biszkopty, powróciłam spiesznie do łóżka i nachyliwszy się, usiłowałam pochwycić wyrazy w miarę jak wychodziły z ust chorej. Były to wyrazy pojedyncze, zgodne z tymi, jakie mnie chodziły po głowie. Nie miałam więc trudności w zrozumieniu.

— Van Burnam — mówiła — Van Burnam... — wtrącając imię Howarda albo Franklina.

— Ah! — pomyślałam, czując nagłą reakcyę — jeżeli to nie jest Ludwika Van Burnam, w każdym razie jest to kobieta, której poszukuję. Bez względu na jej odruch, odrzuciłam kołdrę, którą była nakryta, i zdjęłam bucik i pończochę z lewej nogi.

Na kostce nie było żadnej blizny; położywszy kołdrę, wzięłam bucik do ręki. Zrozumiałam obawę, jaką okazywała, gdy obca ręka zamierzała się dotknąć tej części ubrania. Na podbiciu pod podeszwą ukryte były banknoty znacznej wartości, a ponieważ drugi bucik mógł zawierać odpowiednie schowanie, obawiała się, rzecz prosta, wszystkiego, co mogło odkryć jej majątek. Coraz więcej zdziwiona sprawdzeniem, że tajemnica zaciemnia się coraz bardziej wsunęłam bucik pod kołdrę i usiadłszy, zgłębiałam cały przebieg sprawy.

Błąd, jaki popełniłam, zasadzał się na tem, że ponieważ kobieta, którą śledziłam miała suknie Ludwiki Van Burnam, zatem to ona być powinna. Pojęłam teraz, że ofiarą była żona Howarda, a obecna tu chora — jej rywalką.

Ale to wymagało zupełnej zmiany w mojem rozumowaniu. Jeśli to była rywalka, a nie żona Howarda, więc która z nich przyszła z nim na scenę tragedyi?

Howard oświadczył, że to była jego żona. Ja zaś przekonałam się, że to była jej rywalka. Kto więc ma racyę? on, czy ja? A może nie mamy jej oboje!

Nie znajdując na to odpowiedzi, myśl moją zwróciłam w inną stronę. Kiedy obie kobiety zamieniły suknie, albo raczej kiedy ta kobieta pochwyciła bogate, jedwabne suknie swojej rywalki? Czy to odbyło się przed wejściem jednej lub drugiej do domu Van Burnama, czy po spotkaniu się?

Przypominając sobie w myśli drobne fakty, których rozwiązania dotąd nie szukałam, porównywałam je między sobą.

Oto fakty, o których mowa:

1) Jedna sztuka bielizny, znaleziona na zabitej kobiecie, była rozdarta przez całą długość pleców. Ponieważ była nową, uległa jamuś gwałtownemu naprężeniu, które niedopuszczało pozoru walki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski**

Papier z fabryki Tow. akc. Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.